

Czy mgła w ogóle
istnieje?
A brzoza? **A**

Grochów,
czyli Bińczyk
o Stasiuku

Ile kosztuje
walka
o 1 procent

Zjadamy
zwierzęta,
a nie mięso

PRZE KROJ

NR 15 (3484) / 10 KWIETNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Zwierzę też człowiek



INDEKS
371424

9 770033 248205

ISSN 0033-2488

15 >

FORD FOCUS

Dwa najlepsze silniki w swoich klasach



Najwięcej
w historii nagród
w dziedzinie bezpieczeństwa
Euro NCAP Advanced.

Najlepiej
wyposażony w innowacyjne
technologie samochodów
w swojej klasie.



Najlepszy
w swojej klasie
silnik benzynowy
1.0L EcoBoost - 5.0l/100km.

Najlepszy
w swojej klasie silnik Diesla
1.6L TDCi ECOnetic - 3.7l/100km.

Dostępny już od **28 800** PLN w kredycie 50/50 0%*
i promocyjne ubezpieczenie 2,99%



Go Further
ford.pl

Żużycie paliwa oraz emisja CO2: Ford Focus 1.6L Duratorq TDCi 105 KM ECOnetic Technology 99g, 3.7l/100km, 99 g/km lub Ford Focus 1.0L EcoBoost 125 KM, 5.0l/100km, 114 g/km (cykl mieszany, wg dyrektywy 80/1268/EEC). Przedstawione dane dotyczą wersji z systemem Auto-Start-Stop. Na zdjęciu samochód z wyposażeniem opcjonalnym. Infolinia: 0 801 50 60 70 – opłata za połączenie zgodna z taryfą operatora.
*Dla catkowitej kwoty kredytu w wysokości 32 573 zł oprocentowanie 0%, opłata przygotowawcza 1 013,02 zł, okres kredytowania 12 miesięcy, RRSO 10,07% (zawiera koszt ubezpieczenia AC). Oferta finansowa FCE Bank Polska S.A.



W TYM TYGODNIU

PRZEKROJ

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

**NIE PUBLIKUJEMY
TEGO ZDJĘCIA...**



Co robi clown? Przeczytaj w ostatnim akapicie tekstu o protestach przeciw likwidacji stołówek szkolnych na s. 6

**LAST MINUTE
KRZYSZTOF PŁYTA**

*O tyciu w święta:
nie przywiązujemy
zbyt dużej wagi
do tych paru kilogramów.*

NIE PISZEMY O TYM...

... że pewien archeolog i poseł uznali za przestępstwo wybudowanie Stadionu Narodowego, gdyż nie wykonano niezbędnych prac archeologicznych i w konsekwencji zniszczono bezprawnie Stadion Dziesięciolecia.

... że rzecznik sęd Dariusz Joński uważa, iż powstanie warszawskie wybuchło w 1988 r. Bo przecież 44 i 44 to właśnie 88.

... że władze Warszawy pomniejszyły dotacje dla warszawskich teatrów i przeznaczyły te pieniądze na stworzenie Strefy Kibica. Scena, czyli ogródek dla 100 tys. kibiców wokół Pałacu Kultury i Nauki. Miasto inwestuje w to 25 mln zł. Każda władza będzie miała taki spektakl, na jaki zasłużyła.

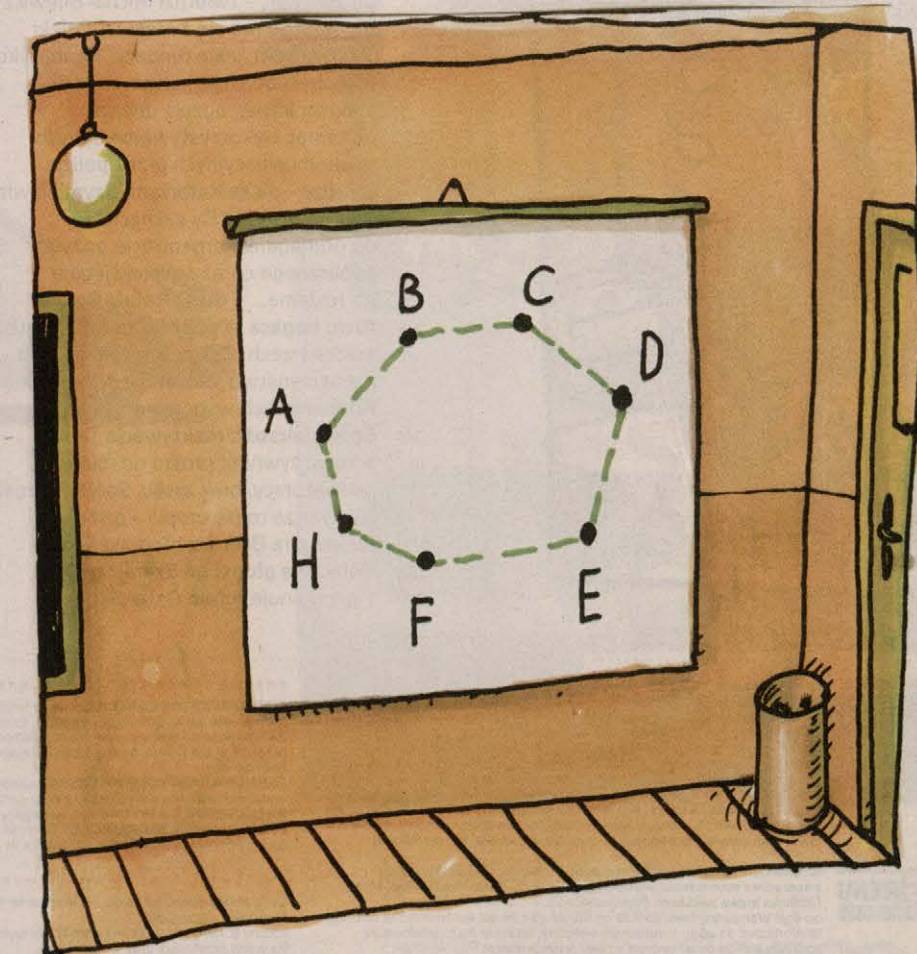
... że losy grosza mogą być policzone, ponieważ wybiecie jednego grosza kosztuje kilka groszy, a to już wielu gorszy. Grosze wciąż trzeba doprodukować, ponieważ ludzie trzymają je z lubością w domu, nie obracając nimi.

... czy jesteśmy za nową lub starą podstawą programową z historii, bo nie wierzymy, że akurat ten przedmiot może być nauczany w sposób interesujący dla wszystkich uczniów.

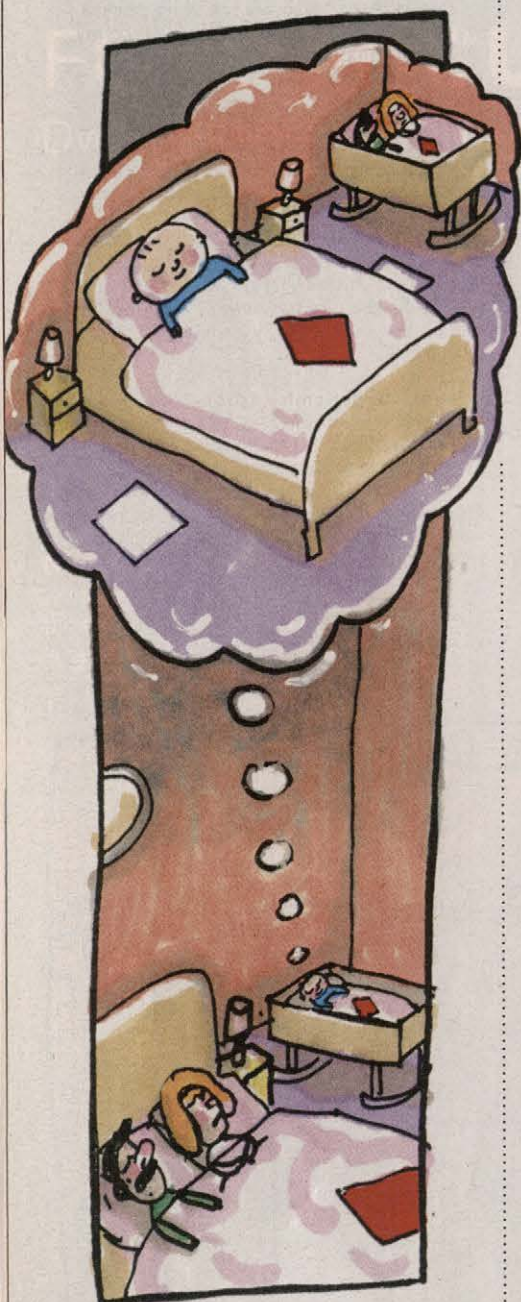
... że podczas pierwszej edycji „Węży” za to, co najgorsze w polskiej kinematografii w ubiegłym roku, uznano „Wyjazd integracyjny” Przemysława Angermiana. A równocześnie Jan Frycz otrzymał wyróżnienie w dziedzinie „Występ poniżej godności”. Potem była „Bitwa Warszawska Hoffmana”. A sekwencja (co to za scena???) z karabinem maszynowym wygrała w konkurencji „Żenująca scena”.

... że zdaniem Komisji Europejskiej kompletnie nie dbamy o polskie wody, a w szczególności o rzeki. Zbyt często podczas prac następują trwałe zmiany koryta rzecznej i jego strefy brzegowej. A poza tym to do roku 2015 r. Polska powinna przywrócić „dobry stan ekologiczny wszystkich wód”.

MAREK RACZKOWSKI



MAREK RACZKOWSKI



PRZED W SZYSTKIM

- 8 **Jedno kochasz, drugie zjadasz**
Codzienne decyzje dotyczące posiłku, ubioru czy rozrywki mogą być częścią pozytywnej ewolucji relacji człowieka z resztą zwierząt. Z Dariuszem Gzyrą, weganinem, współzałożycielem stowarzyszenia Empatia – rozmawia Magdalena Orlińska
- 14 **Za wolność naszą i waszą**
Amerykańskie oceanarium zostało pozwane za zmuszanie waleni do niewolniczej pracy. Ta sprawa przywołuje najważniejsze pytania dotyczące relacji człowieka z innymi zwierzętami – pisze Julia Fiedorczuk
- 18 **Delfin człowiekowi człowiekiem**
Wysoko rozwiniętym morskim ssakom należy się status osób, mimo że nie są ludźmi – mówią naukowcy oraz Olga Kowalik i Patrycja Dołowy
- 20 **Zaimki w służbie ludzkości**
Zwierzęta to dziś więźniowie naszych przyzwyczajęń. Nade wszystko jednak języka – pisze Emil Stanisławski
- 22 **Jak zjeść zwierzę?** Zanim zjemy kotlet, wznosimy mur oddzielający nas od zwierząt – twierdzi Michał Bilewicz
- 23 **Inwigilacja ma się świetnie** Dzięki statystykom, jakie fundacja Panoptykon wydobyła od Urzędu Komunikacji Elektronicznej, odżyła debata na temat wykorzystywania danych telekomunikacyjnych przez policję i służby – pisze Katarzyna Szymielewicz
- 24 **Pęd po procent** By zachęcić do pomagania, organizacje pożytku publicznego coraz śmielej sięgają po reklamę... – tekst Rafała Gębury
- 26 **Rich: bogata w doświadczenie** Poetka, matka trzech synów, lesbijka opisała macierzyństwo jako instytucję totalną. Adrienne Rich wspomina Sylwia Chutnik
- 28 **Spółdzielczość: reaktywacja** Tania zdrowa żywność prosto od rolników, podział pracy, brak zysku. Spółdzielczość spożywcza to nie utopia – piszą Aleksandra Bilewicz i Tomasz Sikora
- 29 **Polacy są głupszy od Szwajcarów** – przekonuje Adam Ostolski

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 31 **Mgła** Jaka mgła? To zwykła chmura – upiera się Patrycja Dołowy
- 34 **Brzoza** Ogrzewa nasze domy, zachwyca artystów, leczy ciało i duszę. A jak nie da rady wyleczyć, to przynajmniej ozdobi nagrobek białym krzyżem – pisze Magdalena Papużyńska
- 35 **Czy to prawda, że mleko dolane do kawy zmniejsza działanie kofeiny?** Odpowiada Joanna Omorska

KONIEC Z KULTURĄ

- 36 **Grochów w najnowszym zbiorze opowiadań Stasiuka** jest miejscem początków i umierania, a nade wszystko uporczywego pamiętania – pisze Marek Bieńczyk
- 38 **Nie jestem psem na łańcuchu** – przekonuje Małgorzata Szumowska w rozmowie z Agnieszką Wiśniewską
- 40 **Stefan Żgliczyński odpala kolejne rakietki** w kierunku książki „Nowy wspaniały Irak” Mariusza Zawadzkiego. Przeprasza też za błędy
- 42 **Na festiwal OFF Plus Camera** zaprasza do Krakowa Ania Trzebiatowska
- 43 **Co się dzieje z mózgiem Zebka** – zdradza Tomasz Piątek

RECENZJE

- 44 **Książki:** Mendyk o 300 stronach, które Pasiecznik poświęciła na wprowadzenie w utopię Stockhausena
- 45 **Film:** Ostrowska o obrazie manifestie Musiała i Ptaszyńskiego
- 46 **Muzyka:** Gromnicka o albumie Gaby Kulki, Ola Walickiego i Macieja Szupicy
- 47 **Teatr:** Drewniak o tym, jak Spisak wystawił „Proroka Ilję” Słobodzianka
- 48 **Sztuka:** Szablowski o katastrofach a la Smoleński

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 49 – 50 **Rozmaitości z krzyżówką** i Lewomyślnie Kurkiewicza
- 3, 4, 35, 49, 50 **Raczkowski**

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00, 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@przekroj.pl lub mielie.nazwisko@przekroj.pl REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnecka, Weronika Kostyrko, Julia Kubiśa, Jacek Tomczuk, Maria Świątek ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk, Kaliber 45 PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajlo-Krajewski PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski FOTODYDZIA: foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur KOREKTA: Ling Brett OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wojcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszutek STRONA INTERNETOWA I IPAD: serwis.platne@rp.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel

GREMI GRUPO

WYDAWCA: PRESSPUBLICA Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Jakub Maszkowski, Milena Ostolska BIURO REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09 DYREKTOR DZIAŁU AGENCYJNEGO: Filip Weichert – 22 463 01 88 reklamainfo@presspublica.pl druk: RR Donnelley

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: 156,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faksem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195 PRENUMERATA KOLPORTERSKA oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe PRENUMERATA e-WYDANIA www.egazety.pl PRENUMERATA ZAGRANICZNA Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPad i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróć w nadesłanych artykułach i listach.

Okladki: Balbina Brzuszczyńska

Wykorzystaj osiągnięcia naszych konstruktorów

Konstruktorzy Audi od lat wyznaczają trendy w dziedzinie techniki, a teraz wiele ich innowacyjnych rozwiązań jest dostępnych w standardzie – w modelach Audi Prime Line z bardzo korzystną ofertą finansową.

Na przykład Audi A1 Sportback Prime Line bogato wyposażone m.in. w komputer pokładowy z programem efficiency, pakiet Connectivity, tempomat, system radiowy Concert, ogrzewanie przednich foteli i sportową wielofunkcyjną kierownicę obszytą skórą jest dostępne już od 34 000 zł w kredycie 50/50 Audi Finance.

Szczegóły oferty w salonach Audi.

Audi A1 Sportback Prime Line w kredycie 50/50 już od 34 000 zł



Infolinia: 801 200 500*

*Opłata jak za 1 jednostkę połączenia lokalnego.

Audi Finance

Przewaga dzięki technice



PRZECIW LIKWIDACJI SZKOLNYCH STOŁÓWEK



Przeciwno planom likwidacji stołówek szkolnych i zastąpieniu ich cateringiem dostarczanym przez firmy zewnętrzne protestowali 3 kwietnia pod pomnikiem Kopernika w Warszawie uczestnicy Marszu w Obronie Warszawskiej Edukacji. Takie zmiany mają zostać wprowadzone w szkołach m.in. w Śródmieściu, na Mokotowie i na Bemowie. Likwidacja stołówek skutkuje zwolnieniem szkolnych kucharek, może także wpłynąć na wzrost cen szkolnych obiadów i obniżenie ich jakości oraz wartości odżywczych.

Uczestnicy marszu sprzeciwiali się także szerszej polityce oszczędno-

ści w warszawskiej edukacji, doprowadzającej do likwidacji części szkół i przedszkoli oraz wysokich opłat za publiczne przedszkola. Według nich władze miasta prowadzą antyspołeczną politykę.

W proteście wzięli udział uczniowie, rodzice, kucharki ze szkolnych stołówek oraz działacze i działaczki Demokratycznego Zrzeszenia Studenckiego i Porozumienia Oświatowego.

Po demonstracji część protestujących weszła na sesję Rady Dzielnicy Mokotów, gdzie bezskutecznie próbowała skłonić radnych do odwołania stanowiska zarządu dziel-

nicy w sprawie likwidacji szkolnych stołówek.

Wcześniej rodzice i działacze uczestniczyli w sesji Rady Dzielnicy Bemowo, na którą radni zaprosili osoby przebrane za clownów (zdjęcie s. 3), aby pokazać tym, którzy sprzeciwiają się likwidacji stołówek, że ich żądania są niepoważne. Według obecnej na wydarzeniu aktywistki DZS radni zapelnili także salę urzędnikami, aby rodzice nie mogli brać udziału w obradach, nie wpuszczając ich pod pretekstem przestrzegania przepisów przeciwpożarowych.

ALEKSANDRA BILEWICZ

O WEGANIZMIE PRZESZŁY TYDZIEŃ

Weganizm, spróbujesz? – pyta stowarzyszenie Empatia, organizator rozpoczynającego się 15 kwietnia Tygodnia Weganizmu. Organizatorzy stawiają na różnorodność w podejściu do tematu weganizmu i liczą, że dzięki temu dotrą do nowych grup odbiorców. W Warszawie 30 osób zaprezentuje portrety zwierząt wykorzystywanych przez człowieka. – Chcemy przywrócić im ich osobowość – mówi Dariusz Gzyra z Empatii. – Chodzi o to, aby spojrzeć na zwierzęta inaczej, zobaczyć w nich czujące istoty i porzucić uprzedmiotawiającą perspektywę.

O diecie wegańskiej opowie Małgorzata Desmond, pokazy gotowania i degustację poprowadzą Vegevani. W Trafficu odbędzie się pokaz filmu „Making the Connection”, a w księgarni Tarabuk w cyklu „Aktywizm słów” będzie można porozmawiać o życiu emocjonalnym zwierząt. Więcej: www.wegetydzien.pl.

TOMASZ SIKORA

FILMÓWKA W WARSZAWIE

10. edycja festiwalu Łódź po Wiśle, prezentującego prace studentów Łódzkiej Szkoły Filmowej, odbędzie się 13–15 kwietnia w warszawskim kinie Kultura. Zobaczymy 100 etiud dokumentalnych, fabularnych, operatorskich oraz animacji. Będą spotkania z twórcami, retrospektywa laureatów poprzednich edycji, pokazy cyklu „Łódź od świtu do zmierzchu” oraz animacji „Świtez” czy spektakl „Roberto Zucco” w Teatrze Powszechnym z udziałem studentów Wydziału Aktorskiego. Więcej: www.lodznapowisle.pl.

PIĄTKA DO NAGRODY KAPUŚCIŃSKIEGO

Pozналиśmy ostateczną listę książek nominowanych do ustanowionej przez miasto stołeczne Warszawę międzynarodowej Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego.

Tegorocznymi finalistami są: „Sztuka politycznego morderstwa, czyli kto zabił biskupa” Francisco Goldmana (książka o ludobójstwie w Gwatemali popelnionym w imię walki z komunizmem, wyd. Czarne), „Palestyńskie wędrówki. Zapiski o znikającym krajobrazie” Raja Shehadeha (spojrzenie na konflikt izraelsko-palestyński poprzez zdegradowany krajobraz, wyd. Karakter), „Miedzianka. Historia znikania” Filipa Springera (opowieść o zrównaniu z ziemią miastecz-



ku na Dolnym Śląsku, wyd. Czarne), „Po Syberii” Colina Thubrona (podróż po współczesnej „paradoksalnej krainie” Syberii, wyd. Czarne), „Prowadzący umarłych. Opowieści praw-



dziwe” Liao Yiwu (zbiór rozmów z najbardziej niebezpiecznymi przedstawicielami chińskiego społeczeństwa, wyd. Czarne).

ALEKSANDRA BILEWICZ



Nazwisko autora, który otrzyma tegoroczną Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego, zostanie ogłoszone 11 maja



Oto dlaczego stworzyliśmy opony o krótkiej drodze hamowania na mokrej nawierzchni

Bridgestone Europe
Odwiedź naszą stronę i znajdź autoryzowanego dealera
www.bridgestone.eu

BRIDGESTONE
Your Journey, Our Passion



W Polsce co roku dla naszych potrzeb ginie ponad 600 mln zwierząt hodowlanych. Decyzje dotyczące posiłku, ubioru czy rozrywki mogą utrzymać status quo lub być częścią pozytywnej ewolucji relacji człowieka z resztą zwierząt.

Z DARIUSZEM GZYRĄ, weganinem, współzałożycielem stowarzyszenia Empatia, rozmawia Magdalena Orlńska

Od wielu lat organizacje społeczne walczą o prawa kobiet, mniejszości etnicznych i seksualnych. Kolejnym krokiem tej ewolucji w myśleniu jest walka o prawa zwierząt. Zdaje się, że większość Polaków uważa, że o zwierzęta trzeba dbać. Dlaczego zatem tyle zwierząt w Polsce cierpi?

– Zwierzęta mają taki status, jaki jest wygodny dla ludzi. Dotyczy to również dużej części środowiska działającego na rzecz zwierząt. Gdyby rzeczywiście chcieć je uznać za moralnie ważne, trzeba by spojrzeć na zwierzęta jako na indywidua z unikatowymi biografiami, zdolne do cierpienia. Następnie trzeba by przyznać, że są to istoty, które chcą i mają prawo żyć, potem zacząć mówić o nich innym językiem. W efekcie praktyka społeczna relacji z innymi zwierzętami byłaby skrajnie różna od obecnej. Nie pytalibyśmy, jak je wykorzystywać, tylko czy to robić. Istnieje wiele organizacji, które zajmują się zwierzętami. Zbierają pieniądze na karmę, schronienie, leczenie. Tymczasem jedno z haseł Empatii brzmi: „Jedne kochasz, drugie zjadasz”. Czym różni się podejście takich organizacji jak Empatia do kwestii zwierząt? – Wiele organizacji zajmuje się leczeniem skutków choroby, niewiele skupia →



Jedno kochasz drugie zjadasz

→ się natomiast na przyczynach. Praca w schroniskach, dokonywanie interwencji, przekonywanie do adopcji – to wszystko są bardzo potrzebne i trudne formy działania. Czapki z głów przed tymi, którzy to robią, ale zajmowanie się tym, nawet z największym oddaniem, nie jest receptą na zdecydowaną zmianę sytuacji zwierząt. Narzędzia do tej zmiany są gdzie indziej, a dokładnie tam, gdzie codzienne ludzkie wybory.

W Polsce co roku ginie dla potrzeb człowieka ponad 600 mln zwierząt lądowych kilku podstawowych gatunków. To w dużej mierze efekt prozaicznych wyborów ludzi. Powtórzę: rozumiem, że nie każdy w rewolucyjnym odruchu może dziś zamienić mleko krowie na sojowe, ale niech to zrobi najpierw choć 10 proc. społeczeństwa. To byłby początek dobroczynnej lawiny, grupa na tyle duża, że mogłaby być wpływowa. Chcielibyśmy zmienić świadomość ludzi i podpowiedzieć, że zmiana jest możliwa, oraz pokazać, na czym ona polega. Dlatego właśnie promujemy weganizm.

Tymczasem w Polsce zwierzęta cierpią, bo to jest wygodne dla większości ludzi, a wyrzuty sumienia są od nas zgrabnie odsuwane przez wielopoziomowy mechanizm zakłamywania rzeczywistości.

Tym, co widzi konsument, jest zadowolona rodzina przy tradycyjnym obiedzie, uśmiechnięte świnki na opakowaniach produktów mięsnych i hasła typu „Pij mleko, będziesz wielki”. Jaki wpływ na nasze myślenie mają media i korporacje?

– Przemysły wykorzystujący zwierzęta na gigantyczną skalę, korporacje będące doskonałą realizacją hasła prymatu ekonomii nad etyką, reklama manipulująca wizerunkiem zwierząt i tworząca wyimaginowane potrzeby, system edukacji bez ambicji nauczania krytycznego myślenia, Kościół stawiający grubą kreskę pomiędzy ludźmi i resztą zwierząt – wszyscy ci potężni gracze tworzą z premedytacją etyczny matrix. Żeby przejrzeć na oczy, trzeba dostać obuchem w głowę lub pojawić się w odpowiednim miejscu wśród przekonujących ludzi.

Wykorzystywanie zwierząt jest jednocześnie wszechobecne i niewidoczne. Owszem, doskonale widać jego końcowe efekty, przedstawiane jako niezbędne, ale nie widać – że użyję staroświeckiego słowa – prawdy o tym, jakim kosztem powstają. A jest nią uprzedmiotowienie, ból, strach, stres, cierpienie i śmierć. A wszystko to nie jest konieczne, czego dowodzi niepasująca do układanki obecność zdrowych i usatysfakcjonowanych weganek i wegan.

Rzeźnie z centrów miast przeniosły się daleko od nas i niepowołane osoby nie mają tam wstępu. Naturalne futro w sklepie nie jest opatrzone informacją, że jego produkcja związana była z wtykaniem zwierzęciu elektrody do odbytu i więzieniem w wielkiej drucianej klatce. A krowy oficjalnie dają mleko, tak jakby chciały ofiarować nam wapń do budowy kości. A mleko nie jest nadwyżką pokarmu, które krowy wcześniej zgodnie z naturą przeznaczyły dla swoich dzieci. Te dzieci staną się szybko cieleciną. I to jest nieuchronny koszt ludzkiej ochoty na bitą śmietanę i ser do pizzy. W wielu reklamach produktów odzwierzęcych ofiary pokazywane są jako wolontariusze procesu

Według Amerykańskiego Stowarzyszenia Dietetycznego, największej organizacji na świecie zreszającej dietetyków, „dobrze zaplanowana dieta wegańska (...) jest odpowiednia dla osób na wszystkich etapach życia, włącznie z okresem ciąży i laktacji, niemowlęstwa, dzieciństwa oraz dorastania, a także dla sportowców”. Z kolei Światowa Organizacja Zdrowia postuluje znaczne ograniczenie produktów odzwierzęcych. W diecie każdego z nas powinny dominować niskoprzetworzone produkty roślinne: owoce, warzywa, rośliny strączkowe i pełnoziarniste produkty zbożowe (np. kasze).

Kuchnia wegańska może być oparta na tanich, ogólnodostępnych produktach, a poszczególne potrawy są równie łatwe w przygotowaniu co tradycyjne dania. Weganie mają też dostęp do gotowych produktów przeznaczonych specjalnie dla nich.

Jakub Sobiecki,
dietetyk z Instytutu Happymore

hodowli i rzezi, dumne ze swojego wkładu w rozwój ludzkości.

Jakie są najczęściej spotykane mity na temat zwierząt?

– Podstawowy mit jest taki, że wykorzystywanie zwierząt jest nieodzowne. Oczywiście, oczekiwanie jakiegokolwiek nagłej zmiany praktyki społecznej, cudownego przestawienia zwrotnicy, jest nierozsądne.

Zmiana to zwykle proces, najpierw osobisty, później społeczny. Byłby jednak prostszy, gdyby kilka mitów pękło. Choćby ten, że istnieją podstawy do odmiennego traktowania

tych zwierzęcych wybrańców, którzy stają się w naszej kulturze pupilami, członkami naszych rodzin (np. psy i koty), i tych, których skazujemy na status narzędzia, towaru, zasobu naturalnego (np. krowy i świni). Gdyby zwierzętom, określanym jako hodowlane, dać taką możliwość, zadziwiłyby nas swoją inteligencją i zdobyły nasze serca. Jak mają to zrobić stłoczone wśród innych, wplecione w mechanizm odbierający im osobowość i niedający zaspokoić podstawowych naturalnych potrzeb?

Czy idea weganizmu nie jest zbyt radykalna?

– Absolutnie nie chcę lekceważyć nawet najdrobniejszych odruchów empatii wobec zwierząt, ale proponuję zejść na ziemię, rozejrzeć się i powiedzieć wyraźnie: tradycyjne organizacje ochrony zwierząt często stają się częścią problemu, a nie jego rozwiązaniem, dając swoisty certyfikat wykorzystywaniu zwierząt, byle z umiarem. Wegetarianizm natomiast to dzisiaj anachronizm. W ówczesnym świecie nie ma większej moralnej różnicy pomiędzy mięsem a innymi produktami pochodzącymi od zwierząt. Adekwatna odpowiedź na ten stan, jeśli ktoś uzna go za rzeczywiście zły, nie może być letnia. Radykalizm weganizmu trzeba więc widzieć na tle fatalnej normy. Jeśli dobrze się przyjrzeć, wiele postępowych idei wydawało się kiedyś radykalnych, a teraz same stały się normą.

Weganin musi być bardzo uważny. Powinien sprawdzać skład wszystkich produktów, z którymi ma do czynienia. Z jakimi problemami może się zetknąć?

– Byłbym nieszczerzy, gdybym pokazał ten wybór wyłącznie w pozytywnym świetle. Jak każda mniejszość weganie mogą napotkać rozmaite trudności i problemy. Składniki odzwierzęce są częścią tak ogromnej liczby produktów, często niewidoczną, że tu i teraz jest niemożliwe niekorzystanie z nich w ogóle. Dlatego warto jednak zatrzymać się na pewnym poziomie wnikliwości, żeby nie ucylnić ze swojego wyboru nie tylko czegoś nieznosnego dla nas samych, ale i niepodatnego na naśladowanie. Życie weganki lub wegana nie jest więc prostą eliminacją własnego udziału w całym systemie wykorzystywania zwierząt, a raczej możliwym tu i teraz jego ograniczeniem. Można przestać korzystać z mięsa, nabiału, jaj, skór, futer – to jest dobra wiadomość i na tym warto się skupić. **Ludzie nie zdają sobie sprawy, że temat zwierząt jako istot, wobec których człowiek ma moralne obowiązki, nie jest tylko wymysłem kilku szalonych aktywistów, ale stanowi dziedzinę poważnych dyskusji**

www.volkswagen.pl

Infolinia: 801 200 400 (opłata jak za jednostkę taryfikacyjną połączenia lokalnego)

Dobrze się ustawisz.

PARK ASSIST PARK ASSIST PARK ASSIST
PARK ASSIST PARK ASSIST PARK ASSIST
PARK ASSIST PARK ASSIST PARK ASSIST
PARK ASSIST PARK ASSIST PARK ASSIST
PARK ASSIST PARK ASSIST PARK ASSIST

TIGUAN CITYLINE
od **41 995 zł**
Z KREDYTEM 50/50 0%

Tiguan CityLine z systemem automatycznego parkowania Park Assist i innym miejskim wyposażeniem.

Jedna wizyta w salonie Volkswagena i możesz dobrze się ustawić. Wybierając Tiguan CityLine, otrzymasz w standardzie m.in. Park Assist najnowszej generacji, czujniki parkowania z funkcją wizualizacji na ekranie radia, system Start-Stop, układ odzyskiwania energii hamowania, 6 poduszek powietrznych, dwustrefową klimatyzację Climatronic czy system audio RCD 310 z 8 głośnikami. A z tą ceną będziesz naprawdę dobrze ustawiony, nie tylko na miejskim parkingu.

VOLKSWAGEN BANK POLSKA S.A.
VOLKSWAGEN SERWIS UBEZPIECZENIOWY SP. Z O.O.



Das Auto.

Kredyt 50/50 0% – reprezentatywny przykład ustalony i przekazywany zgodnie z ustawą o kredycie konsumenckim: cena samochodu: 121 532,64 zł; wkład własny: 60 766,32 zł; całkowita kwota kredytu: 60 766,32 zł; stopa oprocentowania kredytu: 0%; całkowity koszt kredytu: 4 375,17 zł obejmuje składkę ubezpieczenia komunikacyjnego: 4 375,17 zł; rzeczywista roczna stopa oprocentowania: 7,20%; czas obowiązywania umowy: 12 miesięcy; całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta: 65 141,49 zł; kwota jednorazowej spłaty: 65 141,48 zł. Oferta dostępna przy skorzystaniu z ubezpieczenia komunikacyjnego oferowanego za pośrednictwem Volkswagen Serwis Ubezpieczeniowy. Niektóre elementy wyposażenia widoczne na zdjęciu dostępne są za dopłatą.

→ akademickich, m.in. w katedrach filozofii czy na wydziałach prawa. Jakie zagadnienia towarzyszą refleksji nad zwierzętami we współczesnym świecie?

– Zwierzęta były przedmiotem refleksji filozoficznej już w starożytności, chociaż wątek ten nigdy nie był główny. Współcześnie zdecydowany zwrot nastąpił w latach 70. zeszłego wieku. Wiele osób kojarzy zapewne australijskiego bioetyka Petera Singera i jego „Wyzwolenie zwierząt”, ale nie chodzi wyłącznie o niego i jego utylitarystyczne propozycje. Wtedy zaczęła się rodzić współczesna koncepcja praw zwierząt. Pojawiły się pierwsze publikacje amerykańskiego filozofa Toma Regana. Rozwinął się także nurt ekofeminizmu. Od tamtej pory liczba książek, publikacji, konferencji na temat etyki w kontekście zwierząt wzrosła lawinowo.

W tej chwili dosyć pręźnie rozwija się na świecie dziedzina badawcza zwana animal studies, w ramach której mówi się o zwierzętach nie tylko w aspekcie etycznym i filozoficznym, ale także przez pryzmat sztuki, historii, socjologii, krytyki literackiej czy antropologii. Oczywiście jest ogromna różnica pomiędzy stanem zainteresowania tą dziedziną środowisk akademickich w Polsce i w krajach, w których budżet na naukę jest znacznie większy. Jednak i u nas ostatnio widać ożywienie, pojawiło się kilka ciekawych książek i konferencji. Byłoby z pewnością doskonałą inwestycją w przyszłość uwzględniać tę tematykę w programie studiów. W Polsce brakuje pogłębionej dyskusji o naszych relacjach z innymi zwierzętami. Jeśli nawiązać do metaforyki ze świata zwierząt, jesteśmy w ogóle rozwiniętych krajów Europy, a wolałbym, żebyśmy byli gdzieś w okolicach kłębów, a najlepiej na czole.

Jak tłumaczyć brak zainteresowania tego typu tematami wśród osób duchownych, które z racji swego powołania czy też pełnionego zawodu obcuja na co dzień z tematyką moralną?

– Nie widzę podstaw do uznania kogoś za eksperta od kwestii etycznych tylko dlatego, że jest duchownym! Dominacja Kościoła w sferze etyki to przykład uzurpacji. Czy duchowni mają jakąś specjalną wiedzę z zakresu etyki, czy też są raczej ekspertami

od założeń własnej wiary i jednego, wybranego systemu wartości? Chrześcijaństwo w żadnym ze swoich głównych nurtów nie było i nie jest biocentryczne. Antropocentryczne, teocentryczne – owszem.

Można się oczywiście w nieskończoność spierać, do jakiego stopnia biblijne zapisy usprawiedliwiają wykorzystywanie zwierząt, czy oddanie Ziemi we władanie człowiekowi daje mu prawa tyrana, czy też narzuca obowiązki dobrego opiekuna, ale jedno jest widoczne dosyć wyraźnie: Pismo nie stało się powszechną inspiracją dla jakiegokolwiek ruchu wyzwolenia zwierząt.

Współczesny katechizm również nie pozostawia wątpliwości, że liczy się głównie człowiek, to on jeden jest osobą, wybranym bytem, wyróżnionym w hierarchii. Zwierzę

„*Proponuję zejść na ziemię, rozejrzeć się i powiedzieć wyraźnie: organizacje ochrony zwierząt często stają się częścią problemu, a nie jego rozwiązaniem, dając swoisty certyfikat wykorzystywaniu zwierząt, byle z umiarem. Wegetarianizm natomiast to dzisiaj anachronizm*”

ta wolno wykorzystywać i tylko w niewielkim zakresie dopuszczalne są tutaj negocjacje. W kontekście tego bardzo konserwatywnego i ociężałego stosunku Kościoła do kwestii naszych relacji ze zwierzętami ciekawie jest natrafić na prozwyerzące stróżki teologii. Interesującym przykładem jest niedawno wydana książka Andrew Linzey „Teologia zwierząt”.

Organizacje prozwyerzące decydują się czasem na kontrowersyjny przekaz. Przykładem może być wystawa „Holocaust na twoim talerzu”, zestawiająca obrazy z obozów koncentracyjnych z obrazami wykorzystywania zwierząt. Jakże jeszcze działania mogą przykuć uwagę i zatrzymać tę bezrefleksyjną hiperkonsumpcję?

– Tego typu wystawy to właśnie obuch, który może mieć moc wybudzania. No, ale obuch nie jest narzędziem uniwersalnym, nie naprawi wszystkiego. Nie ma jednego sposobu przekonania innych do zmiany. Trzeba starać się mówić o problemie na różne sposoby i w różnych miejscach. Szkoły, ulice, urzędy, galerie, domy kultury, media czy Internet – wszędzie jest możliwość jakiejś formy aktywności.

Dla mnie równie ważne jest to, czego nie robić, gdy się chce zdobyć długotrwałą przychylność i zaufanie tych, do których chcemy trafić. Czuję niechęć do propagandy opartej na przemilczeniach i manipulacji, do przemocy i przebóstwiania idei, przez co widzi się ją jako niepodlegającą dyskusji i pozbawioną wad. Niektórzy weganizm nie wają tendencje do widzenia w weganizmie remedium na wszystkie bolączki świata, od pryszczy do konfliktów międzynarodowych. Mnie wystarcza uznanie, że jest to nie tyle idealna, ile możliwie dobra koncepcja ułożenia stosunków pewnej części ludzi z innymi zwierzętami.

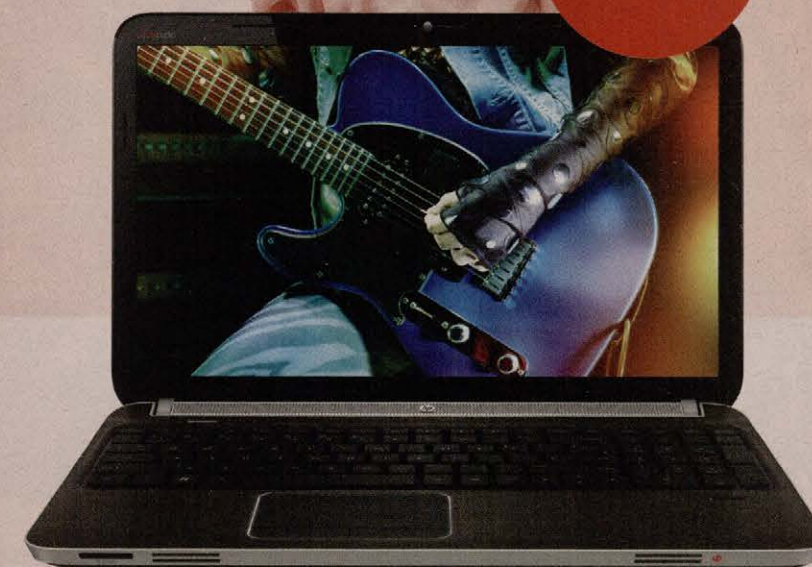
Co twoim zdaniem jest największą przeszkodą w dotarciu do ludzi z propozycją zmiany produktów odzwierzęcych na roślinne? Smak, tradycja, zdrowie?

– Oczywiście, produkty odzwierzęce bywają smaczne i mogą sprawiać przyjemność, z którą trudno się rozstać. Nie jest to jedyny przypadek, kiedy przyjemne jest to, co moralnie problematyczne. Na szczęście nie są jedynymi źródłami przyjemności, a ich odrzucenie nie prowadzi do żadnej ascezy. Wiąza się również z tradycją i trudno zaprzeczyć, że w historii człowieka miały pozytywny wpływ na jego rozwój. W tej chwili jednak mówienie o rozwoju bez uwzględnienia rozwoju etycznego jest odwoływaniem się do odrobiny nieaktualnych standardów. Dzisiaj wiemy już znacznie więcej zarówno o zwierzętach, jak i możliwych koncepcjach ułożenia sobie z nimi relacji, więcej też wiemy o zasadach zdrowego żywienia. Nieuwzględnianie tej wiedzy trudno nazwać rozwojem.

Myślę też, że poważną przeszkodą w skutecznym przekonywaniu innych do zmiany jest brak nawyku autorefleksji. Czy ktoś nam wpajał wartość metodycznego kwestionowania własnych poglądów, wyrabiać w nas potrzebę samodzielnego myślenia, otwartości na dyskusję i ewentualną zmianę? Wielu ludzi widzi w zmianie zagrożenie, a nie szansę. Tworzy ufortyfikowane i wygodne tożsamości, tyleż stęchłe, co przyjemnie wygrzane – jak dobra gawra.

Everybody On 

wszystkie chwyt
dozwolone



MUZYKA JAK NIGDY DOTĄD TYLKO W HP Z  beatsaudio.

Twoje życie, Twoja rozrywka. Teraz możesz realizować wszystkie swoje zainteresowania!

HP Pavilion dv6-6120sw
Z procesorem Intel® Core™ i3-2310M

2199,-

SFERIS



więcej modeli HP w sklepie internetowym SFERIS.PL

Za wolność naszą i waszą

Amerykańskie oceanarium zostało pozwane za zmuszanie walen do niewolniczej pracy. Ta sprawa przywołuje najważniejsze pytania filozoficzne dotyczące relacji człowieka z innymi zwierzętami



Daryl Benson/MASTERFILE/EAST NEWS

JULIA FIEDORCZUK

Pół roku temu oceanarium Sea World w Orlando zostało pozwane do sądu przez pięć walen. W imieniu orek Tilikuma, Katiny, Corkiego, Kasatki i Ulisesa wystąpiła organizacja PETA (ang. People for the Ethical Treatment of Animals, Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt). Zarzuciła właścicielowi Sea World więzienie walen i pogwałcenie 13 poprawki amerykańskiej konstytucji głoszącej, że: „Nie będzie w Stanach Zjednoczonych lub jakimkolwiek miejscu podległym ich władzy ani niewolnictwa, ani przymusowych robót, chyba że jako kara za przestępstwo, którego sprawca został prawidłowo skazany”. Przedstawiciele PETA zwrócili uwagę na to, że w cytowanym artykule konstytucji nie ma mowy o tym, iż miałyby on stosować się tylko do ludzi, a sytuacja walen z orlandzkiego zoo w pełni odpowiada opisowi stanu, który określa się mianem niewolnictwa (zwierzęta są pozbawiane wolności

i zmuszane do pracy na rzecz swoich właścicieli). W lutym tego roku sędzia federalny Jeffrey Miller odrzucił pozew PETA, przedstawiając łatwe do przewidzenia uzasadnienie: konstytucja Stanów Zjednoczonych dotyczy istot ludzkich, a nie zwierząt.

Co ciekawe, niemal każda notka prasowa dotycząca tej sprawy nadmieniała, że jeden z walen (Tilikum) dwa lata wcześniej przyczynił się do śmierci trenera, zaś hasło w Wikipedii (o charakterze zdecydowanie bardziej biograficznym niż zoologicznym) podaje, iż Tilikum pomógł wysłać na tamten świat aż trzy istoty ludzkie. Dodajmy, że angielska nazwa orek to killer whale, czyli waleń morderca. Na deser dorzućmy, że słynny kaszalot Moby Dick, który wystrychnął na dudka kapitana Ahaba, również należał do rzędu walen.

Wszyscy kochają delfiny

Sprawa jest ciekawa nie tylko ze względu na losy pięciorga bohaterów, lecz również dlatego, że wskazuje na kilka kwestii kluczowych

dla współczesnych nauk humanistycznych. Po pierwsze, powraca stare jak filozofia pytanie: Gdzie przebiega granica między zwierzęciem a człowiekiem? I od razu dodajmy, że współczesne spojrzenie na ten problem powinno dodatkowo uwzględnić kwestię: komu najbardziej zależy na tym, by ta granica pozostała nietknięta (i zewnętrzna wobec człowieka, nie zaś wewnętrzna, jak w ujęciach Jacques'a Derridy, Giorgio Agambena, Donny Haraway czy Elizabeth Grosz).

Po drugie, pojawia się problem praw ludzkich i nieludzkich jednostek: skąd pomysł, że ktośkolwiek ma do czegośkolwiek prawo, a jeśli już je ma, to czy nie powinien mieć także obowiązków? Innymi słowy, czy nasz język praw, do którego odwołuje się PETA, jest właściwym sposobem upominania się o los zwierząt?

Warto zastanowić się też, o czym świadczy święte oburzenie niektórych homo sapiens na myśl, że częścią swoich przywilejów mieliby podzielić się z innymi zwierzętami. Czyżby obawiali? Wreszcie co to znaczy wypo-

NEVER ADAPT.



Jeep® Grand Cherokee.

Sprawdzone na ekstremalnym szlaku Rubicon: system napędu 4x4 Quadra-Drive II®, system zarządzania trakcją Selec-Terrain® oraz pneumatyczne zawieszenie Quadra-Lift®. Wentylowane, pokryte szlachetną skórą siedzenia, podgrzewane koło kierownicy, kamera ułatwiająca parkowanie – nieodzowne na bulwarze modnego kurortu. Ale pamiętaj! Jeszcze żaden Jeep. nie dał oswoić się do końca. Szlachetny dzikus w smokingu.

Prezentowany model jest jedynie ilustracją. Jazda terenowa powinna odbywać się w odpowiedzialny sposób i tylko w dozwolonych miejscach. Szczegóły w salonach.

Jeep® jest zastrzeżonym znakiem handlowym firmy Chrysler Group LLC.

Jeep®

INFORMACJA O DEALERACH 00 800 042 65337

→ wiadać się w imieniu zwierząt? Czy mia-
nując się rzecznikami natury, nie ugruntu-
jemy zachodniego (bo bynajmniej nie uniwer-
salnego) przekonania, iż natura sama w sobie
jest niema? Jak poradzić sobie z antropomor-
ficznym charakterem ludzkiego języka i po-
strzegania, a nawet – empatii? Używa się cza-
sem określenia „miłośnicy zwierząt”. Ale czy
ktokolwiek zapytał kiedyś zwierzęcia, czy ta
miłość jest mu (lub jej) potrzebna?

Zauważmy, że historia, którą przywołaliśmy,
nie dotyczy jakichkolwiek zwierząt, tylko du-
żych, inteligentnych ssaków. I jeśli nawet
tym, który wprowadził „killer whales” do za-
chodniej wyobraźni, był Melville, to ich obec-
ność w świadomości współczesnych konsu-
mentów kultury jest raczej wynikiem wielkiej
popularności filmu „Uwolnić orkę” Simona
Wincera. Zastanówmy się: czy bohater filmu

Jesse mógłby równie skutecznie za-
przyjaźnić się z równie inteligentną
świnia? I czy cały problem nie pole-
ga przypadkiem na tym, że nawet
gdyby taka przyjaźń doszła do skut-
ku, to nie udało się opowiedzieć
o niej w sposób, który porwałby mi-
liony widzów na całym świecie (i na-
kłonił do kupienia biletów, gadže-
tów, płyt)? Czy nie chodzi o to, że in-
teligencja orki jest po prostu bardziej
fotogeniczna niż inteligencja świni
albo, dajmy na to, pszczoły? Wspo-
mnieliśmy o miłości: czy tym, co
każe zamykać piękne, mądre wielo-
ryby w intratnych oceanariach, nie
jest przypadkiem fakt, iż zdolne są wzbudzić
w istotach ludzkich ten właśnie rodzaj senty-
mentu, który umożliwia im roztkliwienie się
na hollywoodzkim filmie?

Mały są takie pocieszne

Tilikum – czytamy w Wikipedii – miał po ostat-
nich „incydentach” (chodzi o śmierć trenera
Dawna Brancheau) roczną przerwę w wystę-
pach. Teraz znów można go oglądać, często
z wnukiem o imieniu Trua i córką Malią. Zo-
stał pojmany w 1983 r. u wschodnich wybrze-
ży Islandii – miał wtedy mniej więcej dwa lata.
Wraz z nim schwytano jeszcze jednego samca
i jedną samicę – ale one już nie żyją.

A zatem „biografia” Tilikuma zaczyna się
w momencie pojmiania. Przywodzi to na myśl
losy jednego z najbardziej frapujących zwie-
rzęcych bohaterów literackich – Czerwone-
go Piotrusia ze „Sprawozdania dla akademii”
Franza Kafki. Przypomnijmy: opowiadanie
słynnego wegetarianina w całości składa się
z mowy wygłoszonej przez szympansa, który

stał się człowiekiem. Czerwony Piotruś, na-
zwany (a właściwie: przezwany) w ten spo-
sób ze względu na bliznę po jednej z dwóch
kul, które ugodziły go podczas pojmiania, staje
przed akademikami, którzy oczekują od niego
sprawozdania z jego małpiej przeszłości. Ale
już w pierwszych zdaniach swojej wypowie-
dzi Czerwony Piotruś wyjaśnia, że nie będzie
umiał „zadośćuczynić temu wezwaniu tak, jak
zostało ono sformułowane”, ponieważ jego
małpie wspomnienia uległy niemal całkowite-
mu zatarciu, co było warunkiem koniecznym
wydostania się ze stanu małpiego ku – no wła-
śnie, czyżby ku wolności?

Nie, ku człowieczeństwu, które oznaczało
co prawda możliwość wyjścia z klatki, ale jed-
nak nie na wolność. Czerwony Piotruś doda-
je: „Wasza małpia egzystencja, panowie, je-
żeli macie coś takiego w swej przeszłości, nie

**”Zostawiając za sobą naszą
małpią przeszłość, trafiamy
do krainy rządzącej się
złudzeniami służącymi
przede wszystkim temu,
żeby jak najskuteczniej
maskować całkowity brak
wolności**

może być bardziej odległa od was – niż moja
jest ode mnie. Lecz lechce ona w piąty każde-
go, kto tu chodzi po ziemi: zarówno małego
szympansa, jak i wielkiego Achilla” (tłum. Ju-
liusz Kydryński).

Czerwony Piotruś wychodzi z klatki, ale nie
na wolność – a zatem dokąd? Dokąd trafiamy
my wszyscy, zostawiając za sobą naszą małpią
przeszłość? Otóż trafiamy do krainy rządzącej
się złudzeniami służącymi przede wszystkim
temu, żeby jak najskuteczniej maskować cał-
kowity brak wolności. Tę prawdę odzwiercie-
dla sam proces uczłowieczania Piotrusia: aby
stać się jednym z nas, musi po prostu bardzo
uważnie naśladować („małpować”) ludzkie
gesty. Przełom następuje wtedy, gdy po wypiciu
butelki wódki udaje mu się zawołać ludz-
kim głosem: „Halo!” – od tego momentu zosta-
je uznany za swego.

Na takiej samej zasadzie wieloryb może stać
się jeśli nie człowiekiem, to przynajmniej swo-
jakiem, kimś, kogo gotowi jesteśmy włączyć
w obszar naszych reakcji emocjonalnych i na-

mysłu etycznego – o ile nauczy się paru sztuc-
czek, a potem fotogenicznie zaprzyjaźni się
z wrażliwym chłopcem.

W kwestii Czerwonego Piotrusia należy
dodać, że kiedy jest już człowiekiem, nadal
kontynuuje występy; nocami zaś oczekuje go
w domu „mała, na pół wytresowana szympan-
siczka” (tłum. Juliusz Kydryński). Bo przecież
łatwiej utrzymać złudzenie wolności, kiedy
ma się pod ręką kogoś, kto jest jeszcze bar-
dziej niewolny niż my.

Wszystkie te pojęcia („wolność”, ale także
„człowiek” i „zwierzę”) to antropomorfizmy.
Jednak opowiadanie Kafki operuje antro-
pofizmem bardzo przewrotnie. Kafka nie
wczuwa się w sytuację szympansa, ale bar-
dzo dobitnie pokazuje paradoksy rządzące
naszym stosunkiem do zwierząt – a także do
tego zwierzęcia, które mamy w sobie, do mał-
piej egzystencji, która „lechce w piąty każde-
go, kto tu chodzi po ziemi”. Pokazuje też, że
człowiek to w domyśle mężczyzna.

Nic nie widzimy, nic nie słyszymy, nic nie mówimy

Do opowiadania Kafki odwołuje się Elizabeth
Costello, tytułowa bohaterka głośnej powie-
ści Johna Coetzego. Costello to fikcyjna pi-
sarka powołana do życia przez autora „Harby”
po to, jak twierdzą niektórzy krytycy, aby dać
wyraz jego własnym przekonaniom. Costello
podróżuje po świecie, udziela wywiadów, wy-
głasza referaty i wykłady, nierzadko wprawia-
jąc słuchaczy w konsternację na przykład tym,
że uparczywie przywołuje porównanie ubojni
bydła do obozów zagłady, podkreślając, że nie
byłoby obozów zagłady, gdyby wcześniej nie
powstały masowe ubojnie zwierząt.

To szokujące zestawienie ma swoje uzasad-
nienie: w obydwu przypadkach rzeź była i jest
możliwa dlatego, że reszta świata zgadza się
żyć w iluzji. My wiemy, ale jednocześnie nie
wiemy, nie chcemy, nie możemy wiedzieć, co
dzieje się w miejscach kaźni. Gdybyśmy wie-
dzieli, jak mogłoby się poczuć nasze człowie-
czeństwo? Wbrew krytykom Costello i innych
„ekonazistów” nie chodzi tu wcale o postawie-
nie znaku równości pomiędzy cierpieniem
mordowanych ludzi a cierpieniem mordowa-
nych zwierząt (choćby dlatego, że ból zawsze
jest pojedynczy, zawsze dotyczy konkretnego
ciała), lecz o unaocznienie nasyconej przemo-
cą struktury, którą my, ludzie – czasem w naj-
lepszej wierze – starannie pielęgnujemy.

Dr Julia Fiedorczuk jest poetką, pisarką, tłumaczką
i krytyczką literacką, wyklada na UW.

OFFplus camERA

INTERNATIONAL FESTIVAL OF INDEPENDENT CINEMA

KRAKÓW
13-22.04.2012

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza



www.offpluscamera.com

Sponsor tytularny

plus

Sponsorzy główni

allegro

Mecenasi

NOBLE BANK

KRAKÓW

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich

Partnerzy

APART

Grolsch

SAMSUNG

Współorganizatorzy

kbf

6

KrakowFilm
Commission

Stowarzyszenie
Niezależnej i Nie Tyko
OFF CAMERA

Patroni medialni

Classic

PRZEKROJ

pap

Gala

Art&Business

ams

onet

tvn24

tvn

Morskie ssaki są wysoce inteligentne, mają osobowość i świadomość swojego istnienia, w związku z czym nie możemy eksploatować ich, jakby były surowcem – uznali zgodnie naukowcy, etycy i obrońcy praw zwierząt podczas konferencji American Association for the Advancement of Science w Vancouver. Winniśmy przyznać im prawa gwarantujące ochronę przed mordem, torturami, ograniczaniem wolności – takie, jakie mają ludzie. Istoty te bowiem są tak bardzo zaawansowane w rozwoju, że nie różnią się od nas na tyle znacząco, abyśmy mogli je traktować przedmiotowo. Ustalenia w Vancouver mają być pierwszym krokiem do przeforsowania nowych rozwiązań prawnych.

W doniesieniach mediów z konferencji AAAS zwykle mogliśmy przeczytać, że chodzi o ochronę praw delfinów – delfiny są przecież takie słodkie, wszyscy je kochamy – nieco rzadziej: że martwimy się także o los wielorybów. To niedopowiedzenie. Uczestnicy spotkania oparli się na Deklaracji praw walen (spisanej w Helsinkach już dwa lata temu podczas konferencji „Cetacean Rights: Fostering a Moral and Legal Change”). A walenie to nie tylko delfiny i wieloryby, ale także morświnowate, jak choćby białucha, czy drapieżne orki, którym zdarza się delfiny butelkonose zjadać na obiad. Niemniej wszystkie te istoty według rzeczono-go dekalogu – albowiem prawa walenii spisano w dziesięciu punktach – „mają prawo do życia” (pkt 1). Nie powinno się też ich męczyć, usuwać z naturalnego środowiska, ograniczać im swobody. Człowiek nie ma prawa niszczyć ekosystemu ani kultury walenii. Nikt nie może uważać ich za swoją własność.

Deklaracja z Vancouver to zatem tylko kolejny krok po konferencji w Helsinkach, ale szersza reprezentacja środowiska naukowego i wynikająca z niego większe zainteresowanie mediów dają nadzieję, że może wreszcie coś się ruszy.

O potęgę ssaczego rozumu

Przykłady na to, jak inteligentne i uczuciowe są delfiny, można mnożyć. Wiemy, że posługują się językiem, i to całkiem złożonym. Pod koniec ubiegłego roku poznaliśmy wyniki badań zespołu amerykańskiego naukowca Jacka Kasewitza, któremu udało się odcyfrować swoiste dźwiękowe piktogramy używane przez te istoty. Jak udało się ustalić, delfiny na widok konkretnego obiektu wydają jeden, ten sam dźwięk – jakby „malowały” falą dźwiękową jego obraz, dzięki czemu mogą potem ze sobą rozmawiać, mówiąc o danych obiektach ich fonicznymi portretami. Tych dźwięków-obrazów używano z powodzeniem do porozumiewania się z del-

Delfin człowiekowi człowiekiem

Wysoko rozwinięte morskie ssaki, takie jak delfiny i wieloryby, powinny być objęte specjalną ochroną. Należy im się status osób, mimo że nie są ludźmi – mówią naukowcy



finami. Zespół Kasewitza uczył nawet delfiny rozumienia komunikatów z wykorzystaniem zarówno rzeczowników, jak i czasowników.

Jednak nawet bez tych odkryć mamy wystarczająco wiele dowodów na to, że delfiny nie różnią się od nas aż tak znacznie. Potrafią troszczyć się o niedołączonych członków stada, przynosząc im pokarm. Poświęcają się dla bliskich, gdy grozi im drapieżnik. Zdobywają się na altruizm ponadgatunkowy – nieraz pomagały ludziom. Tak jak my czerpią radość z zabawy. Błyskawicznie się uczą. Znany jest przypadek, że delfin nagradzany rybą za przyniesienie opiekunowi w pysku śmiecia z basenu, celowo rozdrabniał obiekt na wiele kawałków, by dostać za aporty więcej ulubionych smakołyków. Niewątpliwie zabijanie tych zwierząt to zbrodnia. Czy jednak uda się tę oczywistość przepisać na międzynarodowe prawo?

Zmiana myślenia

Najłatwiej byłoby zlikwidować wodne cyrki i delfinaria, ale nie one są głównym celem obrońców praw zwierząt. Greenpeace od lat protestuje przeciwko rzezi wielorybów. Dla Japonii i wielu innych krajów jednak to zbyt ważna gałąź przemysłu, by z niej zrezygnować. Próby narzucenia zmian legislacyjnych z zewnątrz są skazane na niepowodzenie tak długo, jak długo trwa społeczne przyzwolenie na przemysłową eksploatację zwierząt. Wątkiem realnych zmian jest głęboka zmiana świadomości całych społeczeństw, przyzwyczajonych do traktowania zwierząt jako surowca – a nie jako istot, które czują i które w związku z tym mają prawo do godnego życia. To wymaga gruntownej zmiany nastawienia do wszystkich zwierząt, nie tylko tych wybranych. Zauważenia, że nie jesteśmy „panami stworzenia”, którzy mają prawo „czynić sobie ziemię poddaną”, lecz jedynie jednym z wielu gatunków – na nieszczęście dla innych nieco bardziej inteligentnym.

Ten proces zmiany postrzegania naszej rasy i jej relacji z resztą ekosystemu trwa, zyskując tym większy impet, im wyraźniej widać, że oprócz etyki liczy się tu pragmatyzm. Postawa zaborcza, oparta na przemocy doprowadziła nas na krawędź zagłady ekologicznej – jej kontynuacja może się zakończyć głębokimi zmianami w przyrodzie i wyginięciem większości gatunków, w tym człowieka. Uratować może nas radykalna zmiana optyki – musimy dostrzec w sobie współgospodarzy i przyjąć związaną z tym odpowiedzialność.

Coraz więcej osób ocenia nasz stosunek do innych istot w kategoriach etycznych, a nie czysto ekonomicznych, ale to wciąż zbyt

mało, by osiągnąć masę krytyczną niezbędną do przeforsowania postulowanych choćby w Vancouver zmian. Obrońcy praw zwierząt przyjęli jednak pragmatyczną strategię – zaczęli dopominać się w pierwszej kolejności o zmianę stosunku do tych zwierząt, które z rozmaitych powodów różni od nas najmniej, a swoje tezy popierają autorytetem naukowców. Dzięki temu osiągnęli już pierwsze sukcesy prawne.

Smutek Lucy

Działaczom z Great Ape Project udało się nakłonić hiszpański parlament do uznania praw małp naczelnych: goryli, orangutanów oraz szympanсів zwyczajnych i bonobo. Podobnie jak walenie są one teraz traktowane jako „osoby nienależące do gatunku ludzkiego” – nie wolno ich zabijać, torturować i zniewalać. Organizacja Great Ape Project, powstała w 1994 r. z inicjatywy Petera Singera i Paoli Cavalieri, wykorzystuje argument o zaledwie 1,23-procentowej różnicy w DNA między szympansem a człowiekiem (różnica między dwójkiem ludzi to 0,5 proc.). Jak można kreślić między nami linię determinującą prawo do życia i wolności, skoro różni nas tak niewiele?

Przypomnijmy przypadek szympansię Lucy opisany przez Felipe Fernández-Armesto w książce „A więc myślisz, że jesteś człowiekiem?”. Lucy prowadziła rozmowy za pomocą amerykańskiego języka migowego, który opanowała na poziomie co najmniej dwuletniego dziecka. Przewracając strony czasopisma, w odpowiednich miejscach wyrażała komentarze typu: „To pies” albo „To błękit”. Oprowadzała gości po ogrodzie, trzymając ich za rękę, i z dumą właścicielki domu podawała nazwy ptaków lub roślin. Kiedy zdechł jej ulubiony kotek, po okresie wzruszającego smutku trafiła na zdjęcie w czasopiśmie, które przedstawiało ją i kotka. Długo spoglądała na fotografię, często pokazując w języku migowym: „Kot Lucy”.

Używanie narzędzi, języka, uczucia, pomyślność, smutek po umarłych bliskich, a nawet wrażliwość artystyczna – to wszystko, co zwykliśmy przypisywać sobie jako cechy wyróżniające człowieka, możemy przypisać też szympansom. Nauka dostarczyła nam już wystarczająco wielu dowodów na to, że nie ma żadnej skokowej jakościowej różnicy między zwierzęciem zwanym człowiek a innymi zwierzętami, abyśmy dalej mogli podtrzymywać wygodną dla siebie fikcję.

Po bataliach o uznanie praw hominidów w takich krajach jak Hiszpania, Anglia czy Nowa Zelandia, po upomnieniu się o prawa walenii w Helsinkach i Vancouver czas na silniej-

szy głos w obronie pozostałych ssaków i – gdy przesunie się granica społecznej wrażliwości na cierpienie zwierząt – innych eksploatowanych dziś przez nas gatunków.

Świński biznes

W Polsce społeczeństwo wciąż jest dalekie od kultury poszanowania zwierząt, co przejawia się choćby w pełnych agresji polemikach na forach internetowych dotyczących obrońcy ich praw. Najtrudniej jest oczywiście zrozumieć prawa takich zwierząt hodowlanych jak krowy czy świnię. A przecież świnię mają genotyp w 94 proc. identyczny z genotypem człowieka. Upomnienie się o ich prawa wydaje się jednak szczególnie trudne, gdyż współczesna cywilizacja wciąż opiera się na eksploatacji tych zwierząt dla rozmaitych potrzeb gospodarczych. Statystyki podają, że rocznie w UE zabija się prawie 360 mln trzody chlewnej, bydła, owiec i kóz, ponad 4 mld sztuk drobiu oraz około 25 mln zwierząt futerkowych. Ponad 330 mln jednodniowych piskląt uśmiercanych jest w wylęgarniach. W wyniku zagrożenia chorobami zakaźnymi zabijane są kolejne miliony zwierząt. Na szczęście podejście społeczeństwa zmieniło się w samej choćby kwestii traktowania zwierząt przeznaczonych na ubój.

Dyskusję publiczną rozpoczęła głośna sprawa bestialskiego zabijania świń wykryta w 2004 r. przez fundację Animals. W 2011 r. ważnym głosem, który dotarł do samego Parlamentu Europejskiego, był film Tracy Worcestera „The Pig Business”, który zarówno piętnował monopolizację świńskiego rynku, jak i brak poszanowania dla podstawowych humanitarnych standardów przy uboju. Parlament Europejski pozytywnie zaopiniował projekt rozporządzenia, którego celem było ograniczenie fizycznego i psychicznego cierpienia zwierząt przeznaczonych na ubój.

Od 2013 r. obowiązywać będą w Polsce nowe przepisy, mające obok praw do godnego życia zagwarantować zabijanie tylko poprzez zadanie natychmiastowej śmierci przez ogłuszenie. Wyjątkiem jest jednak mord rytualny. Poprawki zmierzające do całkowitego zakazu uboju rytualnego w UE przepadły jeszcze na etapie prac w Komisji Rolnictwa. Posłowie uznali, że taki zakaz byłby niewykonalny.

Ostatnio pojawiła się nadzieja na zakończenie cierpienia miliardów zwierząt. Z Uniwersytetu w Maastricht dobiegły nas zapewnienia naukowców, że są bliscy opracowania opłacalnej laboratoryjnej hodowli mięsa z komórek macierzystych.

OLGA KOWALIK, WSPÓŁPRACA PATRYCJA DOŁOWY

Zaimki w służbie ludzkości

Zwierzęta to dziś w większości więźniowie naszych przyzwyczajęń. Naszych kubków smakowych, naturalnej odzieży, skórzanых pasków i testowanych dezodorantów. Nade wszystko jednak zwierzęta są więźniami naszego języka

EMIL STANISŁAWSKI

Kiedy ponad pięćdziesiąt lat temu Jane Goodall – wówczas nieznana, początkująca badaczka naczelnych – rozpoczęła swoją przygodę w Gombe, nikt nie przypuszczał, jak rewolucyjne okażą się jej badania nad społecznością afrykańskich szympanów.

Goodall nie znała niepisanych zasad obowiązujących w kręgach ówczesnej etologii – nauki o zachowaniu zwierząt. Badanym przez siebie zwierzętom nadawała imiona i notowała uwagi dotyczące ich motywacji oraz inteligencji. Pierwsi recenzenci szybko ostudzili jej młodzieńczy zapał. Zwierzętom nie mogły przysługiwać imiona, jedynie cyfry, a pojęcia inteligencji, umysłu i świadomości były zarezerwowane wyłącznie dla gatunku ludzkiego. Na szczęście Jane Goodall znalazła dość odwagi, by kontynuować badania, ignorując uwagi ekspertów.

Dzisiaj – w dużym stopniu dzięki badaniom Goodall – wiemy już, że szympansy to jedno z najinteligentniejszych naczelnych. Potrafią korzystać z narzędzi, tworzą społeczności o wewnętrznie skomplikowanych relacjach personalnych, są zdolne zrozumieć i przyswoić zasady języka migowego. Część współczesnych badaczy, wskazując na różnorodność ich zachowań, mówi wręcz o istnieniu odrębnych szympanich kultur. Mimo to przez dziesięciolecia etologia zdominowana była przez paradygmat behawioryzmu interpretującego zachowanie zwierząt w kategoriach mechanicznych i wyuczonych reakcji. Specjaliści stosowali oddzielny aparat poję-

ciowy wobec ludzi i zwierząt. Próba przerwania pomostu między ich umysłami uchodziła za naiwny antropomorfizm. Lekcja, której ponad 100 lat wcześniej udzielił nam Darwin, została zignorowana. Etologia czekała na swoją rewolucję.

Zapomnijmy o instynkcie

W latach 80. w środowisku naukowym wzrzało. Donald Griffin, uchodzący dziś za twórcę etologii poznawczej, odważył się zastosować w stosunku do zwierząt kategorię świadomości – pojęcie zarezerwowane dotąd wyłącznie dla przedstawicieli gatunku Homo sapiens. Dogmatyzm behawiorystów przestał bowiem wystarczać do dokumentowania nowo odkrytych, zaskakujących zachowań zwierząt. Zdaniem Griffina nie sposób było dłużej analizować ich w kategoriach instynktu. Etologia potrzebowała nowych pojęć.

Jego krytyka środowiska naukowego, z determinacją broniącego status quo, spotkała się z ostrą reakcją. Podobnie jak w przypadku Goodall zarzucono mu „uczułowianie” zwierząt – odejście od naukowej terminologii w stronę naiwnej antropomorfizacji. Dla Griffina natomiast antropomorfizm to jedyne antynaukowe uprzedzenie, zakładające niezmienny zestaw wyłącznie ludzkich cech poznawczych. To przekonanie – a za nim zasada językowego rozróżniania opisu ludzi i innych zwierząt – powstało na długo przed rozwojem wiedzy na temat umysłu oraz zachowań zwierząt.

Chociaż etologia po przeszło kilku dziesięcioleciach znalazła klucz do klatki językowych uprzedzeń, społeczeństwo nie dostrzegło jeszcze samej klatki. Terminy: „inteligencja”, „świadomość”, „empatia” i „altruizm”

postrzegamy jako pojęcia, które charakteryzują gatunek Homo sapiens i stanowią o granicy pomiędzy ludźmi a zwierzętami. Ludzkiej inteligencji przeciwstawiamy zwierzęce instynkty, a kulturze – dziką i brutalną siłę.

Dobrze być człowiekiem

Australijski etyk Peter Singer w swoim przełomowym dziele „Wyzwolenie zwierząt” pokazuje, że podział na ludzi i zwierzęta ma charakter wartościujący. Autor nie znajduje żadnego pojęcia opisującego „zwierzęta poza ludzkie”, któremu nie towarzyszyłby bagaż językowych stereotypów. Wyróżniając ludzi, umiejscawiamy inne zwierzęta poza kręgiem naszych zainteresowań moralnych.

Na podobnej zasadzie działała nazistowska retoryka „podczłowieka”. Ludzkim konfliktom towarzyszyła często dehumanizacja wrogów, która polegała na ich degradacji do roli „robaków”, „szczurów”, „świń”

i „psów”. Przykłady można mnożyć. Podczas wojny w Wietnamie amerykański generał William Westmoreland nazwał Wietnamczyków „termitami”. Żołnierze podczas wojny w Zatoce Perskiej strzelanie do wrogich armii określili mianem „polowania na indyki”. Konkwistadorzy walczyli przeciw „dzikim bestiom”, a niewolnicy byli pętani i przewożeni na wzór zwierząt – w uścisku i brudzie. Po odkryciu Indian w Europie toczyła się debata nad tym, czy są oni ludźmi, czy zwierzętami. A przyrównanie ludzi do zwierząt otwierało drogę do eksterminacji wybranych grup, ras i narodów. Zezwierzęcenie ludzi traciło wszelkie przymioty człowieczeństwa – stawali się dzikimi bestiami, pozbawionymi inteligencji, moralności i praw. Nie sposób posługiwać się kategoriami „ludzie” i „zwierzęta”, unikając negatywnych względem zwierząt konotacji. Język stawia nas na pozycji uprzywilejowanej w stosun-

ku do innych gatunków i przypieczętowanie naszej dominacji.

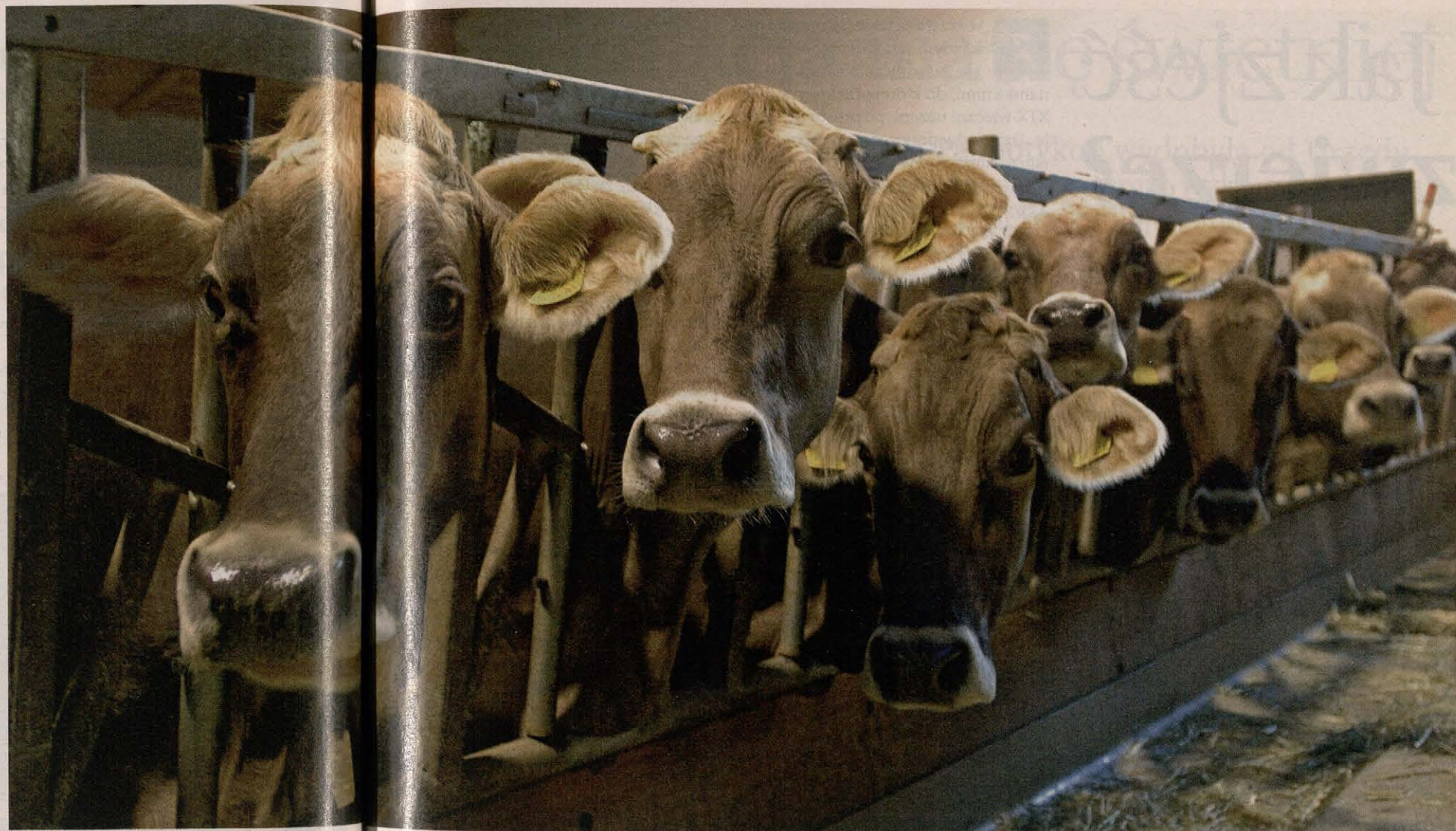
Zwierzożercy

Dla zwolenników Singera negatywne postrzeganie zwierząt to jedna strona medalu. Druga to cała gama zręcznych manipulacji językowych, które pozwalają unikać konfrontacji z rzeczywistą sytuacją zwierząt. Nie podajemy na obiad krów i świń – serwujemy wołowinę i wieprzowinę. Wątroba, mózg, język – nadajemy im postać bagatelizujących zdrobnień – konsumujemy wątróbkę, mózdzek lub ozorek. Sami siebie lubimy określać mianem mięso-, a nie zwierzożerców.

Te subtelne zależności językowe zauważył „Trades Journal”, postulując w latach 90. zastąpienie słowa „rzeźnia” pojęciem „przetwórnia mięsa”. Powszechnie stosowane słowo „ubój”, zdaniem antropolog Noelle Vialles, kojarzy się bardziej z procesem wyrębu drewna ani-

żeli odbieraniem życia milionom wrażliwych na ból zwierząt. Krowa o numerze 245, której rzeźnik przyłożył dziś do głowy pneumatyczny pistolet, to w naszej rzeczywistości jedynie element statystyki, bezpodmiotowy i bezosobowy numer w katalogu produktów spożywczych. Nie ma imienia ani biografii. Nie umiera, lecz zdycha, a jej martwe ciało, przeliczone na kilogramy, ładuje na półkach supermarketów.

Charakterystyczny język stosowany jest też w branży odzieżowej. Producenci futer posługują się np. kategorią „zwierząt futerkowych”, która z góry określa ich przeznaczenie. Podobnie mówi się o „zwierzętach hodowlanych” czy „laboratoryjnych”. W swoich wypowiedziach korzystamy z arsenału eufemizmów, zdrobnień, kategorii i pojęć gwarantujących nam pozbawiony wyrzutów sumienia sen. Domagając się poprawy sytuacji czy praw dla zwierząt, zaczynajmy więc od siebie, a najlepiej od języka.



Krzysztof Pacula/FORUM

Jak zjeść zwierzę?

Dieta mięsna wymaga psychologicznej gimnastyki. Zanim zjemy kotlet, wznosimy mur oddzielający nas od zwierząt

MICHAŁ BILEWICZ



Zhang Peijian/AP/EAST NEWS

Zwierzęta są takie jak my. Nie pod każdym względem, oczywiście, ale zasadnicza różnica między nami a nimi, do której przekonywali nas XIX-wieczni uczeni, po prostu nie istnieje. Dziś znów przywołuje się Karola Darwina, który wbrew duchowi epoki twierdził, że różnica między człowiekiem a zwierzętami jest co najwyżej kolejnym krokiem w rozwoju kompetencji umysłowych. Wystarczy przyrzeć się zachowaniom agresywnych szympanów czy pokojowych i egalitarnych bonobo, by pojąć, jak bardzo jesteśmy podobni do innych naczelnych. Wiele spośród ssaków naczelnych zachowuje się empatycznie, stosuje normy wzajemności, a po konflikcie dochodzi u nich do aktów pojednania. Szympany odczytują intencje partnerów i potrafią przyjąć ich perspektywę.

Większość ludzi jednak opierając się na judeochrześcijańskiej hierarchii bytów, odmawia tych kompetencji zwierzętom. Są przekonani, że racjonalność, moralność czy empatia to właściwości, którymi Stwórca obdarzył tylko nas. Badanie, które prowadziliśmy z naukowcami amerykańskimi i japońskimi, wykazało, że ludzie z tych odległych krajów zgodnie odmawiają zwierzętom niektórych uczuć czy emocji.

Skąd taka rozbieżność ludzkich ocen z odkryciami psychologów, etologów i prymatologów? Odpowiedź jest prosta: jedzenie mięsa. To właśnie mięsożerstwo stoi za ideologią „ludzkiej wyjątkowości”, pozwalającej odciąć się psychicznie od cierpienia, które zadajemy naszym ulubieńcom. Wystarczy popatrzeć na ilustracje książeczek dla dzieci. Na okładce jednej z nich – „Mojej małej książki o zwierzętach w wiejskiej zagrodzie” – świnka radośnie wychyla się zza drewnianego płotka, a wyraźnie szczęśliwe kury dziobią trawę na podwórku. Ludzie wychowani na takich sielankowych obrazach będą narażeni na bolesny dysonans, kiedy uświadomią sobie, jakie warunki panują w przemysłowej hodowli zwierząt. Żeby go uniknąć, wypracowali szereg mechanizmów obronnych.

Pierwszym z tych mechanizmów jest język, którym mówimy o zwierzętach hodowlanych. Zwłoki krowy stają się „wołowiną”, noga świni „golonką”, a mięsień piersiowy indyka „filetem drobiowym”. W ten sposób oddalamy od siebie myśl o zwierzęcym pochodzeniu mięsa. Najważniejsze mechanizmy obronne sytuacji

są jednak w naszej psychice. Osoby jedzące mięso – w przeciwieństwie do wegetarian i wegan – wiele cech i umiejętności uznają za wyłącznie ludzkie. Znacznie rzadziej dostrzegają w zwierzętach wyższe uczucia, nie widzą w nich intelektu czy racjonalności. Dotyczy to oczywiście nie wszystkich zwierząt – a wyłącznie tych hodowlanych. Wegetarianie i mięsożercy identycznie postrzegają psy, różni ich spojrzenie np. na świnię. Niedawne badania neurofizjologów z Mediolanu wykazały, że gdy mięsożercy patrzą na cierpiące zwierzęta, wówczas nie uaktywniają im się zakręty czołowy dolny i przednia część obręczy, czyli te części mózgu, które odpowiadają za współczucie. Wobec widoku cierpiących zwierząt mózgi wegan i wegetarian zachowują się znacznie bardziej empatycznie.

Australijscy psychologowie natomiast przedstawili grupie badanych studentów informacje na temat nieznanego im wcześniej gatunku kangura. Części studentów opisano ten gatunek jako jadalny, a pozostałym – jako niejadalny. Później poproszono ich o ocenę, w jakim stopniu kangury odczuwają cierpienie. Wystarczyła drobna informacja, że zwierzę nadaje się do jedzenia, by przestali dostrzegać cierpienie u sympatycznego kangura. Żeby zjeść, trzeba się psychicznie odciąć.

Jak wyrwać się z tego zakłętą kręgu? Jednym z ciekawych pomysłów była niedawna prowokacja Niemieckiego Związku Wegetarian (VeBu). Wegetarianie stworzyli fikcyjny portal społecznościowy dla osób spożywających ludzkie mięso. Wstępując do tego wirtualnego „klubu”, można było przekazać część swojego ciała albo któryś z organów w celu przyrządzenia z niego wybornego posiłku przez wyspecjalizowanych kucharzy. Sprawa wywołała w Niemczech gigantyczne oburzenie, a prawnicy domagali się usunięcia strony z Internetu. Po kilku dniach medialnej burzy działacze VeBu ujawnili swoją tożsamość – wyjaśniając, że dla ich organizacji jedzenie zwierząt jest równie oburzające jak dla innych kanibalizm. Może takimi właśnie działaniami uda się przekonać mięsożerców, że ich dieta faktycznie powoduje cierpienie istot, które wcale nie są od ludzi tak odmienne.

Michał Bilewicz jest psychologiem społecznym z UW, prowadzi m.in. międzynarodowe badania nad szowinizmem gatunkowym

Inwigilacja ma się świetnie

Dzięki statystykom, jakie fundacja Panoptykon wydobyla od Urzędu Komunikacji Elektronicznej, odżyła debata na temat wykorzystywania danych telekomunikacyjnych przez policję i służby

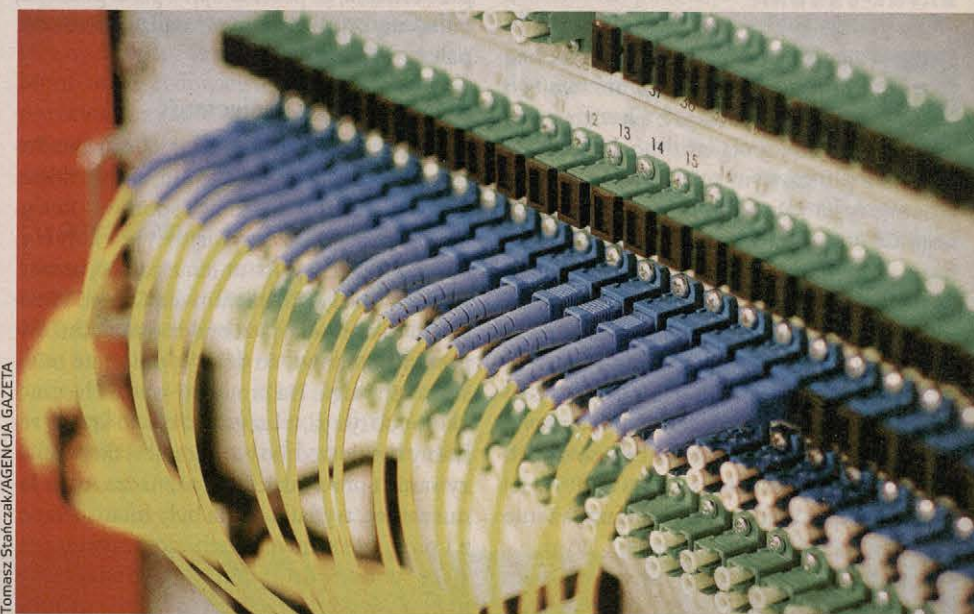
KATARZYNA SZYMIELEWICZ

Wpoprzednim roku operatorzy odnotowali ponad 1,8 mln zapytań o to, kto, z kim, kiedy i jak połączył się lub próbował połączyć za pomocą sieci telekomunikacyjnych. Politycy, dziennikarze i rzecznicy służb spierają się teraz, czy to dużo. Bo przecież nikt nie wie, ile osób i konkretnych spraw kryje ta bezwzględna liczba. Jej wyjaśnienie to sprawa ważna, ale niejedyna. Potrzebna jest przede wszystkim rewizja reguł toczącej się między operatorami, służbami i społeczeństwem gry, która ten problem wygenerowała.

W kilku krajach Unii Europejskiej sądy konstytucyjne uznały, że gromadzenie danych telekomunikacyjnych wszystkich obywateli „na wszelki wypadek” to środek nieproporcjonalny do celu, jakim jest walka z przestępczością. Rumuński sąd konstytucyjny wprost powiedział, że taka praktyka narusza zasadę domniemania niewinności i jest nie do pogodzenia z zasadami demokratycznego państwa prawa. W Polsce ani sądy, ani politycy się nad tym nie zastanawiają. Obowiązkowa retencja danych to fakt zastany: nie ma dyskusji na temat odebrania służbom narzędzia, do którego wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić.

Odkąd Czechy i Niemcy w ogóle zrezygnowały z obowiązku zatrzymywania danych na potrzeby bezpieczeństwa, na tle sąsiadów wyglądamy co najmniej anachronicznie. Dane telekomunikacyjne przechowywane przez dwa lata, udostępniane wszystkim dziewięciu służbom i policji bez kontroli sądu czy prokuratora, legalnie wykorzystywane nie tylko w sprawach karnych, ale także w ogólnie pojętych celach prewencyjnych. Trudno byłoby też liczyć na kontrolę ze strony sądów, skoro sami sędziowie lekką ręką sięgają po bilingi w sprawach rozwodowych.

Czy jest szansa na zmiany? Trybunał Konstytucyjny zapowiada, że lada miesiąc rozpatrzy wnioszek rzecznik praw obywatelskich w sprawie zgodności obecnych przepisów z konstytucją. Rzecznik co prawda nie podważa samej zasady prewencyjnego gromadzenia danych,



Tomasz Stańczak/AGENCJA GAZETA

ale krytykuje brak nadzoru nad ich wykorzystaniem, niedookreślone cele retencji, nieproporcjonalność tego narzędzia i ryzyko naruszenia tajemnic zawodowych. Minister Michał Boni, nie czekając na rozstrzygnięcie Trybunału, proponuje skrócenie czasu retencji do roku i ograniczenie uprawnień sądów cywilnych. Z drugiej strony minister spraw wewnętrznych Jacek Cichocki – mimo że jako sekretarz kolegium ds. służb specjalnych proponował kompleksową reformę prawa w tym zakresie – milczy i aktualnie nie proponuje nic.

Problem z nadużywaniem dostępu do danych telekomunikacyjnych ma podłoże systemowe. Nie da się go rozwiązać zmianą jednego parametru, nawet tak istotnego jak czas, przez jaki dane są przetrzymywane. Potrzebna jest reforma kompleksowa, wychodząca od rewizji samej logiki gromadzenia danych na wszelki wypadek i zasad kontrolowania tego, co się dzieje za zasłoną tajemnicy państwowej i bezpieczeństwa publicznego. Trzeba zweryfikować, jakie znaczenie dla pracy sądów, policji i służb ma nie tyle możliwość dostępu do danych telekomunikacyjnych, ile sam obowiązek ich zatrzymywania

i przechowywania. Tego, że dostęp do materiału dowodowego w konkretnych sprawach jest potrzebny, nikt przecież nie kwestionuje. Spór ogniskuje się wokół dwóch pytań: czy operatorzy powinni przechowywać nasze dane dłużej, niż wymagają tego ich własne cele, oraz jakie zasady dostępu do danych powinny obowiązywać – już bez względu na to, czy są to dane specjalnie dla policji i służb przechowywane, czy przetwarzane w celach komercyjnych.

Taka debata publiczna nie będzie jednak możliwa, dopóki nie otworzy się sezam informacji, jaki dziś pozostaje zamknięty dla naszego bezpieczeństwa. Nie prosimy o tajniki działania służb, o dane osobowe z konkretnych śledztw ani ujawnienie taktycznych informacji. Domagamy się jedynie ujawnienia rzetelnych statystyk, które pokażą, w jakiego typu sprawach nasze dane telekomunikacyjne są wykorzystywane, w jakim celu, z jakim skutkiem i czy rzeczywiście nie byłyby one dostępne, gdyby nie kontrowersyjny obowiązek retencji.

Katarzyna Szymielewicz jest prezeską fundacji Panoptykon

Pęd po procent

By zachęcić do pomagania, organizacje pożytku publicznego coraz śmielej sięgają po reklamę. Ile na nią wydają? I czy na pewno słusznie?

RAFAL GĘBURA

Dzieci bez rodziny czują się jak bez domu. Podaruj im 1 proc. swojego podatku – dobiega z telewizora głos lektorki. Na ulicy z plakatu spogląda dziewczynka z pluszowym misiem, napis – „Ile kosztuje życie”. Organizacje pożytku publicznego (OPP) walczą o naszą uwagę oraz o 1 proc. naszego podatku. Gra warta jest świeczki. W zeszłym roku Polacy przekazali fundacjom i stowarzyszeniom łącznie ponad 400 mln zł. Najwięcej, podobnie jak w poprzednich latach, zebrała Fundacja Dzieciom Zdażyć z Pomocą. Na jej konta powędrowało prawie 89 mln zł. Lista organizacji obdarowanych 1 proc. podatku jest długa – 6533 OPP. Na jej szarym końcu znalazło się stowarzyszenie Fair Play, na którego konto trafiło... 40 gr.

Zaczął się w 2004 r., wtedy na przekazanie 1 proc. podatku zdecydowało się zaledwie 80 tys. Polaków. Przekazali organizacjom pozarządowym 10,4 mln zł. Były to jednak zupełnie inne czasy, a procedura wymagała od podatnika, aby osobiście dokonał przelewu na konto wybranej organizacji i następnie odnotował to w swoim zeznaniu podatkowym. Od 2008 r. jest prościej, wystarczy wpisać do deklaracji podatkowej numer KRS wybranej fundacji lub stowarzyszenia. Liczba podatników, którzy decydują się na wsparcie organizacji, systematycznie rośnie. Ostatni rok był rekordowy zarówno pod względem frekwencji, jak i ogólnej kwoty. Nazwę fundacji lub stowarzyszenia wpisało do deklaracji podatkowej ponad 10 mln podatników, przekazując średnio po 39 zł. Te 10 mln Polaków to jednak tylko 38 proc. wszystkich uprawnionych do przekazania 1 proc. podatku. Co ich wyróżnia? Badanie, które w 2010 r. przeprowadziło stowarzyszenie Klon/Jawor, pokazało, że osoby z wyższym wykształceniem przekazują 1 proc. podatku czterokrotnie częściej niż osoby z wykształceniem podstawowym. KRS organizacji pozarządowej do swojego zeznania podatkowego wpisują częściej osoby zamożne oraz mieszkańcy miast. Wynika to prawdopodobnie z mało ugruntowanego

przekonania, że przekazując 1 proc. podatku, oddajemy organizacjom pieniądze, które i tak należą do państwa.

Reklama to dziś konieczność

Proporcjonalnie do kwoty, jaką co roku Polacy przekazują organizacjom, rośnie także liczba ulotek, billboardów i spotów. – Reklama w dzisiejszej rzeczywistości jest koniecznością – przyznaje Artur Januszaniec, prezes Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci. W zeszłym roku fundacja zebrała od podatników ponad 3,5 mln zł, co dało jej dziesiąte miejsce w rankingu. Na promocję wydała łącznie około 700 tys. zł, z czego 430 tys. to koszty reklamy bezpośrednio zachęcającej do przekazywania 1 proc. Jak jednak zaznacza Artur Januszaniec, wydatki te nie były finansowane z 1 proc., ale z innych dochodów organizacji, które stanowią drugą połowę jej budżetu. Są to m.in. datki od osób prywatnych i instytucji, środki z Narodowego Funduszu Zdrowia, a także dochody z własnej działalności gospodarczej. Fundacja prowadzi bowiem poradnię USG, w której bada płody i ocenia stan ich serc, a także gabinet stomatologiczny dla dzieci niepełnosprawnych umysłowo. Zysk z obu działalności to 6 proc. rocznego budżetu.

Prezes fundacji przekonuje, że reklama organizacji pożytku publicznego to coś więcej niż tylko nakłanianie do przekazywania 1 proc. – To także informacja dla społeczeństwa, że istniejemy i że w razie potrzeby można zwrócić się do nas po pomoc.

Artur Januszaniec zwraca też uwagę, że pieniądze, które fundacja wydała na reklamę, to kropla w morzu realnych kosztów profesjonalnej kampanii. – Jako organizacja pożytku publicznego dostajemy wiele zniżek, czasami rzędu 90–95 proc. To wysokie rabaty. Czasem po prostu trudno z nich zrezygnować, mając świadomość, do ilu potencjalnych darczyńców możemy w ten sposób dotrzeć.

Marketing szeptany robi swoje

– Reklama to dziś rzecz nieodzowna – potwierdza Dorota Szwąder z Fundacji Pomocy Osobom Niepełnosprawnym Słoneczko.

Organizacja w zeszłym roku otrzymała z tytułu 1 proc. niecałe 10 mln zł, zajmując drugie miejsce w rankingu. Na promocję wydała wówczas 50 tys. zł. – Korzystamy przede wszystkim z reklamy prasowej, choć w tym roku po raz pierwszy zdecydowaliśmy się na jeden billboard, tuż obok naszego biura – opowiada Dorota Szwąder. – W reklamę inwestujemy bardzo ostrożnie, wiedząc, że im więcej na nią wydamy, tym mniej zostanie dla naszych podopiecznych. Mamy świadomość, że to właśnie oni są naszą najsukcesowniejszą reklamą.

Jak to możliwe? Fundacja, bez żadnych opłat i prowizji, zakłada subkonta osobom niepełnosprawnym, które potrzebują wsparcia. Dzięki temu podatnik, oddając 1 proc., może przekazać pieniądze na konto konkretnej osoby. Podopieczni oraz ich rodziny sami zabiegają więc o wsparcie i rozgłos w swoich środowiskach, gdzie znakomicie sprawdza się marketing szeptany. – Oni sami się reklamują, piłka jest po ich stronie – mówi Stanisław Kowalski, prezes Fundacji Dzieciom Zdażyć z Pomocą, która w ubiegłym roku zebrała najwięcej – 89 mln zł, przy czym na reklamę, głównie prasową, wydała niecałe 400 tys. zł. – Ludzie najchętniej pomagają konkretnym osobom. Mniej chętnie samym organizacjom, ponieważ nie wiedzą, na co dokładnie zostaną spożytkowane pieniądze – mówi Stanisław Kowalski.

Dorota Szwąder przyznaje, że część środków pozyskanych z 1 proc. podatku, które przekazano organizacji bez wskazania konkretnego celu, pokrywa koszty reklamy oraz administracji. Jak jednak podkreśla, to tylko niewielki odsetek. Zdecydowana większość tych pieniędzy trafia do potrzebujących. – Oplacamy wyjazdy rehabilitacyjne, leczenie oraz drogie operacje. Koszty administracyjne nie są duże. Pracują u nas trzy osoby z zarządu, księgową na pół etatu, dwie dziewczyny, które zostały u nas po stażu, i właściwie to wszystko.

Co robią, by zachęcić

Wypełniając deklarację podatkową, podejmujemy decyzję, czy chcemy, aby urząd skarbowy przekazał organizacji pozarządowej nasze dane osobowe. Jeśli się na to zdecydujemy,

wybrane przez nas fundacja lub stowarzyszenie będą mogły nawiązać z nami kontakt. Warszawskie Hospicjum dla Dzieci buduje stałą więź ze swoimi darczyńcami. Oprócz pisemnych podziękowań przesyła informator o bieżącej działalności. Drukuje go cztery razy w roku w nakładzie 13 tys. egzemplarzy. – Uważamy to za nasz moralny obowiązek – mówi Artur Januszaniec. – Nawet jeśli ktoś w ostatnim roku przekazał swój 1 proc. innej organizacji, my i tak czujemy się zobowiązani do zdawania raportu. Gdy dopytuję, czy nie generuje to zbędnych kosztów, prezes fundacji wyjaśnia: – Koszt informatora jest minimalny. Dostajemy dużą darowiznę od drukarni, a zawartość przygotowują nasi pracownicy.

Dorota Szwąder z fundacji Słoneczko dobrze wie, jak ważna dla organizacji pożytku publicznego jest transparentność. Zamiast listów do darczyńców jej fundacja co roku umieszcza w prasie podziękowanie oraz informację, ile zebrano środków i na jaki cel zostaną przeznaczone. – Ludzie muszą wiedzieć, że pieniądze będą wykorzystane we właściwy sposób. Taka informacja wydaje nam się niezbędna, choć niestety także kosztuje.

Sposobów na skuteczną promocję jest znacznie więcej. Fundacja Słoneczko, by ułatwić swoim darczyńcom przekazywanie 1 proc., na stronie internetowej umieściła program, który pomaga rozliczyć się z fiskusem. Aplikacja wpisuje automatycznie KRS fundacji, dając jednocześnie możliwość wyboru konkretnego podopiecznego, któremu chcemy pomóc. Dorota Szwąder zdradza, że jej organizacja za przygotowanie programu zapłaciła zewnętrznej firmie 5 tys. zł. – To bardzo dużo, tyle kosztuje dwutygodniowy turnus rehabilitacyjny dla jednego z naszych podopiecznych. Mimo to zdecydowaliśmy się zainwestować, ponieważ uznaliśmy, że będzie to duże ułatwienie dla darczyńców. Na podobne programy decyduje się wiele organizacji.

Czy można taniej?

Okazuje się, że można. Tak przynajmniej twierdzi Tomasz Trochim z fundacji ProART. Jak zauważa, obecnie najwięcej dochodów z 1 proc. podatku otrzymują duże fundacje i stowarzyszenia, które stać na kosztowne kampanie reklamowe. Spośród 400 mln zł, które w zeszłym roku trafiły do organizacji,

połowę tej kwoty zebrało trzydzieści kilka pierwszych organizacji. Dla małych fundacji jedyną szansą na zaistnienie może okazać się Internet. – To narzędzie w środowisku trzeciego sektora jest wciąż niedocenione – przekonuje Tomasz Trochim. Wykorzystując media społecznościowe, fundacje i stowarzyszenia mogą budować trwałe relacje z potencjalnymi darczyńcami. Pomocny może okazać się także portal Chcepomagac.pl, który, z myślą o organizacjach pozarządowych, przygotowała fundacja ProART. Strona udostępnia bezpłatne narzędzia, takie jak wspomniany program do rozliczania PIT. – Aplikację przygotowała dla nas firma, która na co dzień tworzy programy dla firm. Zrobiła to zupełnie za darmo, korzysta na tym wyłącznie wizerunkowo. Dzięki temu używanie programu jest darmowe nie tylko dla podatników, ale także dla fundacji i stowarzyszeń.

Termin składania deklaracji podatkowych to 30 kwietnia. Pieniądze z 1 proc. będą spływały na konta wskazanych przez nas organizacji od maja do lipca. Wówczas okaże się, ile pieniędzy w tym roku przekazaliśmy organizacjom pozarządowym.

REKLAMA



Odmień jej los.

Podziel się 1%

z najbardziej potrzebującymi dziećmi na świecie.

www.unicef.pl

Dziękujemy.
Nasz KRS 0000107957

unicef 

Rich: bogata w doświadczenie

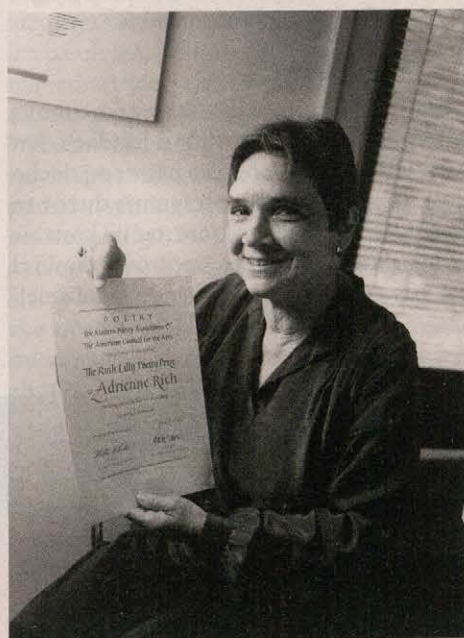
Poetka, matka trzech synów, lesbijka opisała macierzyństwo jako instytucję totalną. **ADRIENNE RICH** wspomina Sylwia Chutnik

O posiadaniu dzieci, autonomii kobiet w kontekście rodzicielstwa czy cięlesności w polskim feminizmie zaczęło się mówić szerzej dopiero w 2000 r., kiedy ukazała się na naszym rynku książka Adrienne Rich „Zrodzone z kobiety”. Autorka bowiem ukazała obszar dotychczas łączony z biologią jako stricte polityczny. Sam podtytuł: „Macierzyństwo jako doświadczenie i instytucja” wskazywał na kierunek myślenia o tym, co w Polsce nazywamy „powołaniem” lub „błogosławieństwem”.

Oto matka trójki dzieci, poetka i filozofka, przedstawia macierzyństwo jako instytucję totalną. Taki typ organizacji zazwyczaj kojarzy nam się z więzieniem, klasztorem czy innym zakładem zamkniętym, zwykle też ma siedzibę w monumentalnym budynku. Instytucja macierzyństwa mieści się jednak w zwykłym domu, a zarządzana jest dzięki subtelny narzędziom takim jak izolacja, szantaż emocjonalny lub stwierdzenie „z natury”.

Jak pisze Rich, wizja macierzyństwa opiera się na fałszywych założeniach, że matka jest osobą bez innej tożsamości, która może odnaleźć całkowite spełnienie w byciu całym dniami z małymi dziećmi, albo izolacja matek i dzieci w domu jest całkowicie zrozumiała. Są jeszcze teorie o bezinteresownej miłości macierzyńskiej, która prowadzi do cierpienia, ale tylko dziecięcego, oraz wiele innych stereotypów. Tymczasem w książce „Zrodzone z kobiety” autorka z pasją rozprawia się z każdym z tych założeń, opierając się nie tylko na źródłach naukowych, ale i na swoim doświadczeniu: matki, feministki i lesbijki. Po trzykroć wykluczonej z oficjalnego chóru kobiet.

Wrażliwość społeczna była jedną z cech charakterystycznych dla twórczości Rich. Potrafiła wczuć się zarówno w separatystyczne ciągoty radykalnego ruchu lesbijskiego



Chuck Knobloch/AP/EAST NEWS

w Ameryce lat 70., jak i bronić prawa kobiet do decydowania o swoim życiu i ciele – w kontekście aborcji, ale przede wszystkim rodzenia dzieci. Pod tym względem była pionierką wśród feministek, które wcześniej nie zajmowały się matkami, a jeśli już, to analizując relacje matka – córka.

Sama Rich miała trzech synów i nie nadużywała słów „patriarchat” i „męskość”. Jej refleksja opisywała paradoksalną sytuację kobiety, która na każdym kroku jest oceniana i kontrolowana przez męskie oko, a jednocześnie stara się wychować nowe pokolenie odpowiedzialnych mężczyzn, synów, których nie rodzi po to, aby byli „mięsem armatnim”, oplakiwanym przez matki w czasie konfliktów zbrojnych.

Ten mocno pacyfistyczny przekaz książki łatwo powiązać z okresem, w którym powstawała pierwsza wersja tekstu – w latach 70. Amerykanie nadal prowadzili wojnę

w Wietnamie. Był to czas rozwoju drugiej fali feminizmu, której przedstawicielki burzyły dotychczasowe formy kobiecości i odkrywały swoje realne potrzeby, dyskutując o nich w publicznych debatach.

Znane hasło „Prywatne jest polityczne” odnosiło się również do instytucji macierzyństwa. Ukryta w domowych pieleszach wszystkim kojarzy się z bezpieczeństwem i matką pochyloną nad łóżkiem, kiedy jesteście chorzy. W porządku, zdawała się mówić Rich, pielęgnując swoje dzieci i kocham je, ale chcę również mieć świadomość, jak rodzenie wpływa na mnie jako kobietę. Jak to, że mam syna, a nie córkę, ustawia nasze relacje. Czy jestem w stanie zaakceptować tę inną kulturę w moim domu. Czy muszę się bać: o dziecko, o jego samopoczucie, wreszcie o ocenę w oczach innych ludzi.

Wydaje się, że pierwszym elementem zburzenia bastionu instytucji totalnej jest zadawanie pytań, których nikt wcześniej nie odważył się postawić. Już samo to uspokaja, pozwala na trzeźwą ocenę sytuacji, która dla wielu kobiet stających się matkami nie jest oczywista. A taka przecież – według magazynów, poradników, forów internetowych – być powinna. Rodzisz chciane dziecko i masz chciane macierzyństwo. Proste, prawda?

Wiele się zmieniło od premiery „Zrodzone z kobiety” w Polsce. Akcje fundacji „Rodzić po ludzku”, debata o podmiotowości matek, niekończąca się bitwa o aborcję ustawiły pole walki i nakreśliły zarys tematów do przepracowania w naszym społeczeństwie.

Bez takich autorek jak zmarła 27 marca tego roku Adrienne Rich debata toczyłaby się wolniej i co chwila osiadałaby na mieliźnie ideologicznej. Nie wszystkie zdajemy sobie sprawę, jak wiele zawdzięczamy niepozornej z wyglądu, wiecznie uśmiechniętej poetce z Baltimore. Taka szkoda, że od nas odeszła.

Co ma wspólnego zebra z matematyką?



Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdziesz w książkach najnowszej kolekcji „Rzeczpospolitej”

„Świat **jest** matematyczny”

Zbierz je wszystkie, poznaj pasjonującą stronę matematyki i przekonaj się, że matematyka jest we wszystkim co nas otacza!

- Matematyczne odkrycia, które wpłynęły na kształt cywilizacji
- Przełomowe twierdzenia najgenialniejszych umysłów wszech czasów
- Intrygujące teorie i hipotezy, nieprzeniknione zagadki i zaskakujące paradoksy

Poleca  **RZECZPOSPOLITA**



TOM 6
Czwarty wymiar
w kioskach
od środy,
11 kwietnia

OFERTA PRENUMERATY: Zamiast szukać kolejnych pozycji w kioskach wyślemy Ci je do domu na nasz koszt. Zamawiając subskrypcję, otrzymasz także rabat ponad 20% i zaoszczędzisz 280 zł! Poznaj szczegóły oferty najwygodniejszych zakupów – zamów subskrypcję on-line na www.rp.pl/e-sklep

Spółdzielczość: reaktywacja

Zdrowa żywność – tanio i prosto od rolników. Podział pracy, brak zysku i szefów. Spółdzielczość spożywcza to nie utopia

ALEKSANDRA BILEWICZ
TOMASZ SIKORA

Miejskie sklepy ze zdrową żywnością uszczuplają nasze kieszenie. Chcemy jeść niepryskane warzywa i owoce, ale nie za cenę znacznie podwyższoną przez marżę pośredników – mówią Magda i Krzysiek z powstającej właśnie kooperatywy poznańskiej. Spółdzielnie spożywcze współpracują bezpośrednio z rolnikami, omijając łańcuch pośredników. Kooperatywy działają na zasadach non profit, nie mają zarządu ani prezesa. Niezbędne prace wykonują członkowie i członkinie w rotacyjnym systemie zadań.

Więcej niż zakupy

Wszystko zaczyna się od grupki osób, które decydują się wspólnie kupować warzywa i owoce. Te początki bywają trudne. – Nie wszyscy chcą aktywnie działać, niektórych trzeba zachęcić przykładem – mówią Magda i Krzysiek. Gdy już uda się zorganizować samochód, ręce do ważenia i chętnych do księgowości, pojawia się energia do nowych działań. Pierwsza kooperatywa w Polsce, działająca w skłocie Syrena Warszawska Kooperatywa Spożywcza oprócz zakupów prowadzi klub dyskusyjny, grupę ogrodniczą, organizuje pikniki.

Idea jest bardzo zaraźliwa. Dziś funkcjonują dwie spółdzielnie w Warszawie (w Śródmieściu i na Mokotowie), działają grupy łódzka, gdańska oraz lubelska. W Toruniu, we Wrocławiu, w Krakowie, Poznaniu, Opolu i Tychach powstają kolejne. Kooperatywy wspomagają się nawzajem. – Kluczowa okazała się pomoc od kooperatywy warszawskiej, od której otrzymaliśmy internetowy system zamówień – mówi Kuba Klimczak z kooperatywy w Łodzi. Okazją do spotkania kooperatystów



Magda Starowiejska

i kooperatystek z całej Polski oraz z zagranicy będzie organizowany w Warszawie w dniach 14-15 kwietnia I Ogólnopolski Otwarty Zjazd Kooperatyw Spożywczych.

Konsumować lokalnie

Skąd tak duże zainteresowanie tematem żywności? Polacy coraz częściej pytają o jakość kupowanych produktów oraz wpływ ich produkcji czy transportu na środowisko. Bezpośrednia współpraca między lokalnymi rolnikami a konsumentami daje producentom pewność zbytu i możliwość stabilnego rozwoju, a konsumentom dostęp do taniej i zdrowej żywności. „Nie chcemy, aby rolnictwo opierało się jedynie na maksymalizacji zysku. Wiele gospodarstw można jeszcze uchronić od wyniszczającej środowisko specjalizacji. Inne można zmotywować

do stosowania alternatyw poprzez rosnący popyt na naturalnie produkowaną żywność – mówią Magda i Krzysiek.

Szkola współdziałania

Kooperatysty i kooperatystki tworzą rozwiązania, które w przyszłości będzie można zastosować w makroskali. Odkurzyli model spółdzielczej samoorganizacji i przystosowali go do dzisiejszych warunków. Mało kto dziś pamięta, że Polska spółdzielczość ma bogatą, blisko dwustuletnią historię. Pierwszą falą były czas zaborów i okres międzywojenny – lata świetności polskiego kooperatywnictwa, druga to okres realnego socjalizmu, kiedy znacznie ograniczono autonomię spółdzielni. Dziś jesteśmy świadkami narodzin trzeciej. Etos emancypacji poprzez współpracę i samodzielną organizację obiegu towarów pozostał, nowością jest przywiązanie do ekologii i szacunek dla praw zwierząt. – W moim przypadku kooperatywa wpłynęła na ograniczenie mięsa, więcej sam gotuję, zamiast kupować przetworzone produkty – mówi Kuba.

Próby tworzenia bardziej ekologicznej i egalitarnej gospodarki rolnej to tylko jeden z celów działalności kooperatyw. W polskiej sferze publicznej dominują nieufność i agresja. Panuje przeświadczenie, że na pomoc można liczyć najwyżej ze strony rodziny. Nic dziwnego, jeśli brakuje instytucji uczących współpracy, a nie konkurencji. Szkoły tylko w niewielkim stopniu pełnią te funkcje, rozczarowało także wiele organizacji pozarządowych, zdobywających granty, zamiast odpowiadać na realne potrzeby lokalnych społeczności. Bez niehierarchicznych instytucji, gdzie ludzie uczą się wspólnie rozwiązywać swoje problemy, polskie społeczeństwo obywatelskie pozostanie mrzonką. Czas pokaze, jaką rolę mogą tu odegrać kooperatywy spożywcze.

Polacy są głupszy od Szwajcarów



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu
jest socjologiem

No i nie będzie referendum w sprawie emerytur. Decyzja była łatwa do przewidzenia, ale czy to znaczy, że nie ma się czym ekscytować? Z sejmowej debaty można było wyczytać ważne rzeczy. Najciekawsze było oczywiście przemówienie Donalda Tuska. Widać było, że premiera ponoszą nerwy. Czyżby poczuł, że traci grunt pod nogami? Moment na bolesne reformy wydaje się wprowadzić idealny, do najbliższych wyborów dwa lata. Ale między wyborami zdarzają się zamieszki, a po protestach przeciw ACTA nic już nie można przyjmować za pewnik.

Jest jednak coś, czego nasza klasa polityczna boi się bardziej od zamieszek. To referendum. Po sejmowej debacie można by uwiaryścić, że kraje, które regularnie urządzają referenda, skazane są na ruinę. Tusk po raz pierwszy w politycznej karierze dał do zrozumienia, że uważa większość obywateli za głupich ludzi, niezdolnych do podejmowania racjonalnych decyzji. Mniejsza o to, że właśnie owi „głupi ludzie” wybrali Tuska na premiera. W końcu w kampanii wyborczej obiecywał coś innego, niż teraz robi, więc może mieć satysfakcję, że tyle osób dało się nabrać.

Mówi się, że większość ludzi podejmuje czasem błędne, a nawet skandaliczne decyzje. Choćby wprowadzony w Szwajcarii zakaz budowy meczetów. Ale to argu-

ment bałamutny. Czy naprawdę wierzymy, że światli ojcowie narodu są mądrzejsi niż lud jako całość? Ani ten, kto wyraził zgodę na tajne więzienie CIA w Kiejkutach, ani ten, kto negocjował i podpisywał ACTA, nie potrzebowali do tego referendum.

W Irlandii referendum trzeba rozpisać za każdym razem, gdy zmieniana jest konstytucja, nawet jeśli chodzi o błahą poprawkę. To dlatego Irlandczycy głosowali nad traktatem lizbońskim, i to dwukrotnie. Można pomyśleć, że głosowali kapryśnie, bo najpierw byli „przeciw”, a potem „za”. Albo że pokazuje to jałowość referendum, skoro można sobie wyobrazić, iż rząd organizuje je do skutku, aż otrzyma pożądaną odpowiedź. Możemy sobie pomyśleć różne rzeczy, ale ważne jest to, że w dniu referendum naprawdę liczyło się tylko to, co myślą Irlandczycy. W kwestiach dotyczących ich praw nikt nie może się dogadywać ponad ich głowami.

Na Islandii pierwsze od uzyskania niepodległości referendum odbyło się w 2010 r. Dotyczyło spłaty przez państwo długu prywatnego banku Icesave. Rząd dwukrotnie negocjował z Wielką Brytanią i Holandią porozumienie o spłacie długu i dwukrotnie obywatele je odrzucali. Choć przez ponad 60 lat na Islandii nie było żadnego referendum, ma ono mocne konstytucyjne osadzenie. Za każdym razem, gdy prezydent wetuje ustawę, trafia ona pod referendum. Obecny prezydent Ólafur Ragnar Grímsson jest pierwszym, który w ogóle skorzystał z prawa weta. W takim systemie prezydent reprezentuje naród nie dlatego, że kiedyś został do tego wybrany, lecz dzięki temu, że może każdą kwestię do narodu odesłać. Katastrofalne skutki podejmowania decyzji gospodarczych w drodze referendum już widać: mimo kryzysu na Islandii rozwarstwienie dochodowe spadło, a płace realne większości ludzi nie. Rozumiemy uczucia tych, w których budzi grozę to.

W Szwajcarii referendum organizuje się na wniosek obywateli. Parlament może go odrzucić, jeśli pytanie nie spełnia warunków formalnych lub jeśli przyjęcie danej propozycji kłóciłoby się z międzynarodowymi zobowiązaniami Szwajcarii. Politycy starają się nie nadużywać tej możliwości, szanując obywateli, którzy ich wybrali. Tak skrojona instytucja referendum wychowuje obie strony, rządzących i rządzonych. Jeśli rząd nie chce, by jego polityka została przez ludzi odrzucona, musi nie tylko liczyć się z interesami większości, ale także racjonalnie przekonywać do swojego stanowiska. Mimo że społeczeństwo szwajcarskie uchodzi za konserwatywne, Szwajcaria prowadzi liberalną politykę narkotykową. Przeciwnicy kilkakrotnie próbowali obalić ją w drodze referendum i zawsze przegrywali. Dlaczego? Bo ta polityka nie została ludziom narzucona, lecz wspólnie z nimi wypracowana. I rząd ma na jej obronę do powiedzenia coś więcej niż: „My wiemy lepiej”. Demokracja to długi proces, dzięki któremu wszyscy powoli stają się mądrzejsi. Nawet rządzący.

Dlaczego w Polsce to tak nie działa? W Polsce referendum nie jest samodzielną instytucją, lecz kolejną zabawką w rękach klasy politycznej. Można postraszyć nim rząd, gdy jest się w opozycji. Można je zorganizować, gdy jest się w miarę pewnym wyniku lub gdy naprawdę nie wypada inaczej. Ale jako samodzielna, ograniczająca władzę instytucja referendum istnieje tylko na poziomie lokalnym. Referendum lokalne rozpisuje się na wniosek 10 proc. zamieszkałych w danej gminie wyborców. Choć w większych miastach, np. w Warszawie, to próg zaporowy.

Czy Polacy są głupszy od Szwajcarów, Irlandczyków czy Islandczyków? Nie. To znaczy tak, niektórzy niewątpliwie są głupszy. Nie powiem którzy, żeby nie narażać „Przekroju” na proces, ale każdy, kto oglądał sejmową debatę o referendum emerytalnym, będzie wiedział, kogo konkretnie mam na myśli. ●



Takie atrybuty kobiecości jak piersi, czerwone usta i okrągłe pośladki wykształciły się ewolucyjnie, ponieważ to właśnie podobało się pradawnym mężczyznom – przekonywał Desmond Morris w wydanej w 1967 r. „Nagiej małpie”. Na początku lat 70. w debacie na temat pochodzenia ludzkości dominowała wizja społeczności łowieckich zdominowanych przez mężczyzn myśliwych. Gdy praludzie zamieszkali na sawannie i zaczęli ewoluować, Ona wykształciła wzorzec piękna, który sprawiał, że po kilkudniowym polowaniu On wracał z kawałkiem prehistorycznej wołowiny właśnie do jej jaskini. Trudno powiedzieć, dlaczego nie wracał za każdym razem do jakiejś innej onej, niemniej wiadomo, że ewolucja sprowadzała się mniej więcej do tego, by z hominidki Lucy zrobić Raquel Welch z „Milion lat przed naszą erą”. W ogólnoludzkie CV wpisywano również podział czynno-biorny, czyli aktywnie polujących z bronią w ręku samców i bierne samice czekające z dziećmi – nosicielami genów – na swych bohaterów.

JULIA KUBISA

Wodne małpy, kobiety i ich dzieci

Praczlowiek zszedł z drzewa nie na sawannę, ale na nadmorską plażę. Ta teoria opisana w książkach Elaine Morgan przywraca właściwą rangę roli kobiet i dzieci w procesie ewolucji

Nasze poglądy na temat życia społecznego kształtowane są przez teorie ewolucji oraz powiązane z nią socjobiologię i psychologię ewolucyjną. W tamtym czasie socjobiologia, która próbuje uzasadnić nasze życie społeczne teorią doboru naturalnego, dostarczała uzasadnień dla podziału na sferę publiczną (męską) i sferę prywatną (kobietą). Teoriami tymi uzasadniano także prawo wartościowania kobiet przez kryterium atrakcyjności fizycznej.

W ten świat wkroczyła w 1972 r. Elaine Morgan książką „Pochodzenie kobiety”. Zaprezentowała w niej stworzoną przez profesora Alistara Hardy’ego teorię małpy wodnej. Nic dziwnego, że wzburzyła środowisko naukowe.

Nowe okoliczności przyrody

Teoria wodnej małpy mówi mniej więcej tak: nic nie stoi na przeszkodzie, by podważyć teorię sawanny i trochę się rozejrzeć. Warunki życia na sawannie w okresie, w którym – jak się przypuszcza – pojawiły się: postawa dwunożna, skóra bez sierści, mowa oraz użycie narzędzi – kompletnie nie sprzyjały tak no-

watorskim ewolucyjnie rozwiązaniom. Było za gorąco, pożywienia było zbyt mało i panowała za duża konkurencja o szczupłe zasoby. Co więcej, inne sawannowe zwierzęta polujące w stadach nie przyjmują postawy dwunożnej i wcale nie pozbywają się sierści, mimo że im gorąco. Do uzgadniania taktyki polowania nie potrzebują rozbudowanej mowy. Ponadto – o ile silny samiec poradziłby sobie w tak niesprzyjających okolicznościach – samice, szczególnie te z młodymi, nie przetrwałyby. A razem z nimi wyginąłby gatunek.

Alistar Hardy, a za nim Elaine Morgan, proponują, by umieścić praludzi w innych okolicznościach przyrody – na terenach nad-

brzeżnych, być może nad Oceanem Indyjskim. Środowisko było tam bezpieczniejsze, a dieta skorupiakowo-rybna łatwiej dostępna. Praludzie mieliby spędzać dużo czasu w wodzie, brodząc w niej, nurkując lub pływając. To wyjaśnia, dlaczego ludzkie dzieci rodzą się z umiejętnością unoszenia się na wodzie oraz z warstwą tłuszczu, której nie mają inne naczelnice – natomiast wszystkie ssaki morskie tak. Podobieństw do ssaków morskich jest więcej – począwszy od nagości, opływowego układu owłosienia, poprzez rozbudowaną komunikację, a skończywszy na sposobie uprawiania seksu. Słone łzy i wygląd naszego nosa Morgan również wywodzi z nadbrzeżnych początków.

W książce autorki chodzi jednak nie tylko o zmianę suchej sawanny na ciepły morski brzeg, ale również o to, by pokazać ewolucję z perspektywy kobiet. Jak radziły sobie z opieką nad dziećmi, jak uczyły się zdobywać pożywienie, będąc słabszą (i niewyposażoną w imponujące kły) płcią? Jest w metodzie Morgan zabieg podwójny – raz, by przyjrzeć się życiu samicy i pierwszych kobiet, dwa – by zakwestionować uniwersalizm męskiej historii. Tyle że mówi o naszym wspólnym przodku, do którego musimy więc, że mieliśmy też wspólną przodkinię, hominidkę, która zeszła z drzewa.

Pierś nam piersi

Do tej pory życie kobiet i dzieci przed milionami lat uznawano za oczywistość – po prostu miały żyć jak mężczyźni, tylko spokojniej i bez przegód. Morgan rzuca światło na ich byt.

Czy kobiety mają piersi po to, by sprawić większą przyjemność mężczyznom, czy też może chodzi o karmienie piersią? Czym ludzkie dzieci różnią się od innych i dlaczego to takie ważne? Dzieci człekokształtnych czepiają się sierści matek, przez co łatwiej im się przysysać. Ludzkie dzieci nie mają tej możliwości i z tej przyczyny ukształtowały się – wyjątkowo w swojej formie – kobiece piersi. Podobnych wyjaśnień odchodzących od prostego „bo to się podobało mężczyźnie” Morgan zamieszcza w swoich książkach sporo. Przede wszystkim jednak podejmuje próbę opisaną ewolucji świata społecznego nie przez produk-

cję broni i konflikty z innymi grupami o terytorium, ale z perspektywy budowania systemu opieki i nawiązywania więzi.

Przyglądanie się (wyobrażonym) polowaniom hominidów i ludzi na sawannie oraz brak zainteresowania rolą kobiet i dzieci w społecznościach więcej nam mówią o tym, co siedzi w głowach badaczy, niż o tym, co się rzeczywiście działo. W tym sensie Morgan nie tylko przedstawia fascynującą teorię, ale i dowartościowuje marginalizowany świat kobiet i dzieci.

Plaże, by przetrwać

W „Pochodzeniu dziecka” (1995) Morgan stawia pytanie, czy dzieci są tylko niedoskonałą kopią dorosłych. Czy wszystko to, co robimy w dzieciństwie, to zaledwie wprawki przed stanem wyższej doskonałości? Autorka przygląda się z bliska procesowi ciąży, okresom niemowlęctwa i dzieciństwa, uznając, że właśnie tam, w pierwszych zabawach, uśmieszkach i płaczu, odnaleźć można ludzką prahistorię.

Wyjątkowość ludzkich dzieci polega na tym, że rodzą się zawsze „przed terminem” – z uwagi na zbyt duży mózg dziecka i zbyt wąską miednicę matki. Dlatego są tak bardzo zależne od matek czy innych opiekunów. Długo nie potrafią przemieszczać się samodzielnie, podczas gdy potomstwo człekokształtnych szybko daje sobie z tym radę. Nie mogąc się poruszać, wykształcają inne umiejętności, takie jak mimika, głos i okazywanie emocji. Domagają się uwagi, więc często płaczą. Słuchanie płaczu dziecka jest czasem dla wykonanych rodziców zadaniem ponad siły. Zdaniem Morgan wielu cierpień młodzi rodzice zdołaliby uniknąć, gdyby zaczęli inaczej traktować dzieci. Gdyby spróbowali dostrzec, że dziecko na ich oczach dokonuje tych samych spektakularnych postępów co człowiek w toku ewolucji – przejście do dwunożności, nauka języka, sprawność manualna. Jego długotrwały płacz oraz domaganie się uwagi ma ewolucyjne uzasadnienie – inaczej by po prostu nie przetrwało.

Matkę warto wspierać

Jeśli zatem rzeczywiście chcemy patrzeć w przeszłość, patrzymy całościowo – na ludzkie społeczności, w których dzieciństwo spędzało się w dużej grupie wkomponowanej we wspólnotę. Spychając dzieci do getta wydzielonych placów zabaw, mieszkań, gdzie siedzą wyłącznie z matkami, i rugując je z przestrzeni publicznej, tworzymy masę problemów. Część ewolucyjnej spuścizny trzeba łagodzić rozwiązaniami społecznymi. Jeśli ceną za wyższą inteligencję i duży mózg jest konieczność wcze-

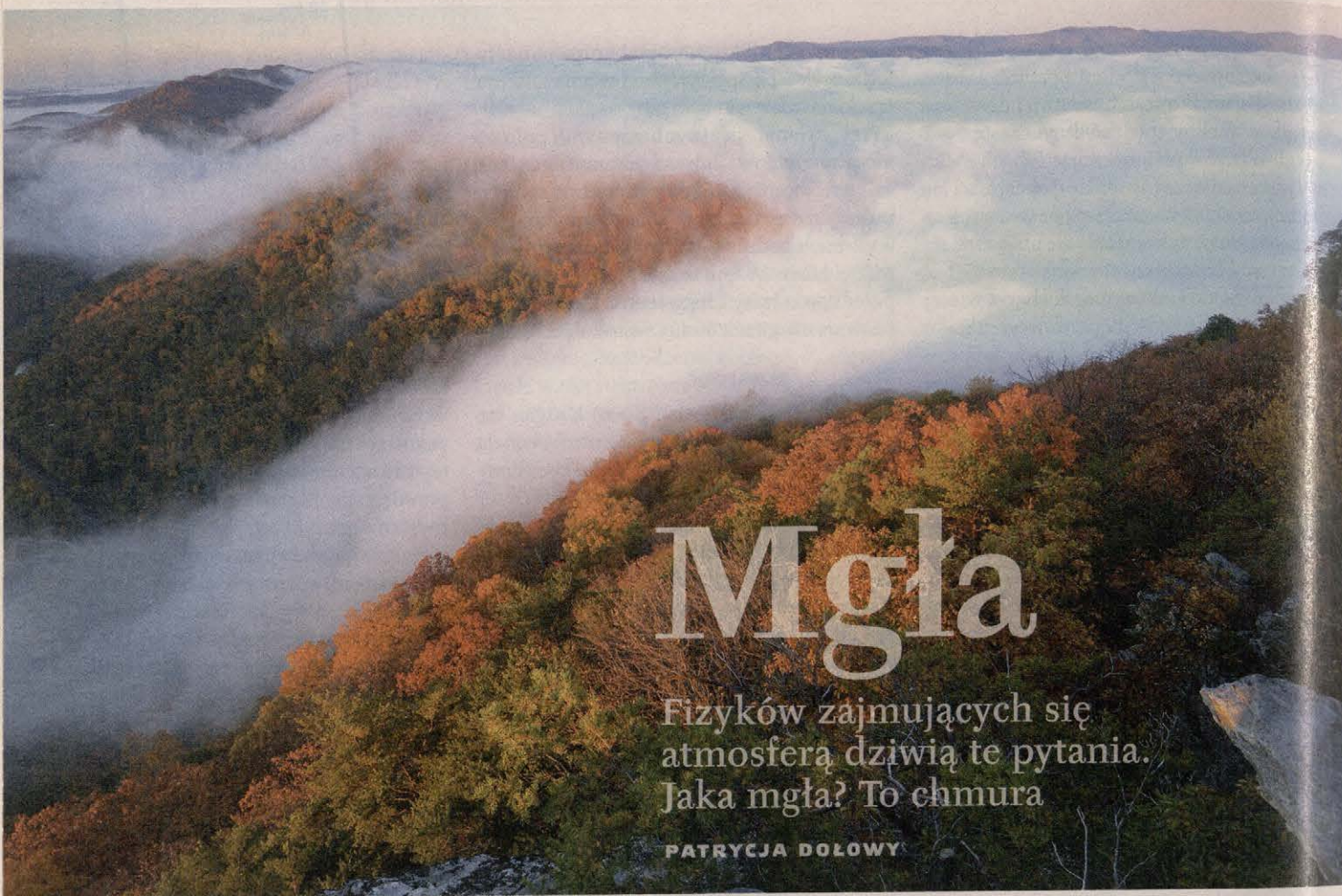
śniejszego porodu i większa zależność niemowlęcia od matki, oznacza to, że społeczeństwo musi matkę i opiekunów w tym wspierać. W zwierzęcych społecznościach matki nie są pozostawiane same sobie. Jeśli więc mamy korzystać z teorii ewolucji, to czerpmy z niej prawdę pełnymi garściami. Uczmy przyszłych rodziców nie tylko technik przewijania, ale również sposobów radzenia sobie z frustracją, zmęczeniem, gniewem. Tu teoria małpy wodnej może przyjść w sukurs.

Morgan wskazuje, że dzieciństwo jest bardzo interesującym światem – być może we wzorach relacji, jakie nawiązują przedszkolaki, zapisana jest pamięć o tym, jak robili to nasi przodkowie. To, co odróżnia ludzkie dzieci od innych gatunków, to ciągle pytanie „Dlaczego?”. W ten świeży, za każdym razem nowy sposób poznają świat po kawałku, aż zaczną dostrzegać rządzące nim zasady, starając się znaleźć w nich miejsce dla siebie. Wszystkie poważne pytania, które zadajemy sobie w dorosłości, mające wobec wagi pytań fundamentalnych, jakie zadawaliśmy w dzieciństwie.

Przeszłość dla przyszłości

Teorie ewolucji oferują nam także wielką opowieść o tym, skąd pochodzimy. Skoro niespecjalnie wierzymy dziś w mity, a instytucjonalne religie nie sprawują już rządu dusz, pozostaje luka, wypełniana przez naukową relację z badań nad prahistorią naszego gatunku. Między opowieścią o tym, kim byliśmy i byliśmy kiedyś, a poczuciem, kim jesteśmy teraz, trwa bezustanna gra.

Szukając wyjaśnień ludzkiego początku, szukamy sensu naszych codziennych działań. Przy czym niektóre zachowania i elementy porządku społecznego są uzasadniane, a inne wydają się zbędne, marginalne, mało interesujące. Pytając o przeszłość, odwzorowujemy na niej naszą teraźniejszość i szukamy jej uzasadnień. Morgan pokazuje, jaki potencjał tkwi w stawianiu pytań, które nie utwierdzają zastanego porządku rzeczy. Bo aby zmienić przyszłość na lepszą dla kobiet i dzieci, warto spoglądać w przeszłość wodnej małpy.



Mgła

Fizyków zajmujących się atmosferą dziwią te pytania. Jaka mgła? To chmura

PATRYCJA DOŁOWY

Mgła w zasadzie nie różni się niczym od obłoku. To taka chmura, która dotyka powierzchni ziemi. Szczepke powiedział, że pojęcie mgły z naukowego punktu widzenia mogłoby nie istnieć. Mogłaby to być chmura przyziemna – zaczyna rozmowę dr Krzysztof Markowicz z Instytutu Geofizyki Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Moimi pytaniami o mgły na morzu jest też początkowo nieco zdziwiony prof. Tomasz Petelski z Instytutu Oceanologii PAN w Sopocie.

– W sensie fizycznym mgły są zawsze tym samym: powietrzem, którego temperatura jest niższa od temperatury punktu rosy, czyli od temperatury, w której następuje kondensacja pary wodnej – mówi. Może o mgłę wystarczyłaby krótka notka? Szybko jednak się zorientowałam, że wcale nie trzeba wyobrażać Stephena Kinga (czy Joanny Lichockiej), by ciekawie o mgłę opowiedzieć.

Zgniłe wyże i dymiące jeziora

Podstawy fizyki mgły wyjaśnił mi prof. Krzysztof Haman z Instytutu Geofizyki UW, uważa-

ny za jednego z większych specjalistów w Polsce w tej dziedzinie. Mgła to zbiornisko unoszących się w powietrzu mikroskopijnych kropelek wody lub kryształków lodu, chmura dotykająca (lub prawie) powierzchni ziemi. W górach ten sam obiekt może być uważany za mgłę lub chmurę w zależności od tego, na jakiej wysokości znajduje się obserwator – dowiaduję się od prof. Hamana. O mgłę możemy, gdy widzialność spada poniżej 1 km. Jeżeli jest większa, ale nie przekracza 10 km, to mamy do czynienia z zamgleniem. Mgła (i chmura) powstaje w wyniku kondensacji zawartej w wilgotnym powietrzu pary wodnej, gdy jej koncentracja przekroczy wartość odpowiadającą tzw. stanowi nasycenia. Wartość tej koncentracji rośnie wraz z temperaturą, przekroczenie zaś może nastąpić w wyniku ochłodzenia – to główny mechanizm powstawania mgły.

– Mgły dzielimy zwykle według mechanizmu, który doprowadził do stanu nasycenia – wyjaśnia prof. Haman. – Jeżeli jego przyczyną jest wypromieniowanie ciepła (energia jest oddawana w przestrzeń kosmiczną

i powietrze przy ziemi zaczyna się wychłdzać), mamy mgłę radiacyjną. Jeżeli następuje w wyniku napływu (adwekcji) ciepłego, wilgotnego powietrza nad chłodniejsze podłoże, powstaje mgła adwekcyjna. Ale w pewnych warunkach do przekroczenia tego stanu może dojść też w wyniku zmieszania dwóch nienasyconych mas powietrza o różnych temperaturach i wilgotnościach. W takim przypadku powstaje mgła z wymieszania lub wyparowania – tłumaczy prof. Haman. – Tę pierwszą możemy zaobserwować, gdy po wschodzie słońca suchsze i zimniejsze po nocnym wychłodzeniu powietrze przyziemne zostaje wymieszane z cieplejszym, wilgotniejszym powietrzem zalegającym wyżej. Czasem taka mgła utrzymuje się nawet przez cały dzień, szczególnie jesienią. Potocznie mówi się wówczas o zgniłych wyżach. Natomiast mgła z wyparowania powstaje, gdy chłodne, suche powietrze napływa nad ciepłe, wilgotne podłoże, np. bagno, jezioro lub powierzchnię morza. Mówi się wtedy potocznie o dymieniu jeziora czy morza. Mgła górską tworzy się, gdy wilgotne powietrze wślizguje

się wzdłuż stoku w górę i ochładza wraz z wysokością. To też jeden z głównych mechanizmów powstawania większości chmur – kończy profesor.

W Polsce spotykamy najczęściej typy radiacyjne i adwekcyjne. Mgły radiacyjne to te, które pojawiają się nad ranem, a znikają najpóźniej koło południa. Powstają przy bezwietrznej pogodzie i w zagłębieniach (chodzi o to, by nie było mieszania). Dla ruchu samolotowego szczególnie nieprzyjemne są mgły adwekcyjne, które potrafią zalegać bardzo długo. Radiacyjne są przynajmniej bardziej przewidywalne.

Sahara nad Warszawą

Ale to nie jest jeszcze cała prawda o mgłach. Oprócz wysokiej wilgotności względnej potrzebują one bowiem czegoś jeszcze, by powstać. Para wodna może zmienić stan skupienia tylko w obecności cząstek trzecich – jąder kondensacji, higroskopijnych mikropyłków, czyli pewnego rodzaju aerozoli. Tych w przyrodzie nie brakuje.

– Gdyby powietrze na świecie było idealnie czyste, to chmury, mgły w ogóle by się nie pojawiały, bo wilgotność powietrza musiałaby być kosmiczna: rzędu 300–400 proc. Przy powierzchni ziemi raczej nie obserwujemy wilgotności powyżej 100 proc. – mówi dr Krzysztof Markowicz, specjalizujący się w aerozalach adiunkt w Zakładzie Fizyki Atmosfery Instytutu Geofizyki UW.

Słowo „zanieczyszczenie” dla laików może być mylące. Zanieczyszczenia kojarzą nam się z czymś, co wytwarza człowiek. Człowiek oczywiście wytwarza niemało, ale to nie jego działalność sprawiła, że na Ziemi pojawiły się mgły. Zresztą nie wszystkie aerozole są jądrami kondensacji.

– Nawet gdyby na Ziemi istniał tylko jeden wielki ocean, występowałyby zanieczyszczenia naturalne, czyli aerozol morski – tłumaczy dr Markowicz. – Gdy załamuje się fala, do atmosfery dostają się drobne kropelki słonej wody. Woda odparowuje i zostają kryształki soli. To bardzo higroskopijne aerozole, na których mgła czy chmura łatwo powstaje.

Na lądzie też wiele nie potrzeba. Wystarczy, że wiatr lekko zawieje, jest jakaś erozja, pył, fragmenty skał – to też świetne aerozole. Do tego dochodzą aerozole biogenne – bakterie.

Naturalnym źródłem aerozoli są wulkany. I pustynie.

– Właśnie zaczyna się sezon saharyjski nad Warszawą – opowiada dr Markowicz. – Wiosną mniej więcej raz w tygodniu mamy nad

głowami pył saharyjski. O tym się nie mówi, bo to mało kogo interesuje. W tym roku już były dwa takie przypadki. Gdy są burze piaskowe, silny wiatr porywa drobiny pyłu do wyższych warstw atmosfery, a następnie przebywa duże odległości. W Instytucie Geofizyki często obserwujemy aerozole z Sahary. Śledzimy, jak powietrze się przesuwa, mamy modele i wiemy, czego się mniej więcej spodziewać.

Źródłem aerozoli są też pożary. I znów rzadko te wywołane przez człowieka. Naturalne pożary zdarzają się w Afryce, Ameryce Południowej. W Europie za naszą wschodnią granicą, na Ukrainie, czasem płoną torfowiska. – W 2001 r. w Warszawie przez wiele tygodni było czuć spaleniznę. Modele pokazywały napływ dużych ilości zanieczyszczeń z Ukrainy – przypomina dr Markowicz.

Sztuczna mgła, sztuczny deszcz

Czy prowadzi się badania nad sztucznymi mgłami? Do czego mogłyby się one człowiekowi przydać? – Na przykład do sadownictwa – odpowiada dr Markowicz. – Akurat w Warszawie spadł śnieg, a już zaczęła się wegetacja, jeszcze gorzej mogłoby być za miesiąc, kiedy wegetacja ruszy na całego. Z końcem kwietnia i w pierwszej połowie maja niemal co roku dochodzi do napływu arktycznych mas powietrza i temperatura spada w nocy do kilku stopni poniżej zera. Dla sadowników mgła byłaby zbawienna. Gdy się pojawia, temperatura już bardziej nie spada, bo mgła blokuje dalsze wychładzanie powietrza. Dlatego zamiast mgły stosuje się niekiedy zadymianie.

A jednak wbrew opinii niektórych naszych polityków badań nad wytwarzaniem sztucznej mgły na dużych obszarach już się raczej na świecie nie prowadzi. Koszty jej wytwarzania znacznie przekraczałyby ewentualne zyski. Jeszcze trudniej byłoby w celowy sposób zmieniać klimat.

– Teoretycznie naukowcy mogliby manipulować klimatem, lecz rozmiar środków technicznych i logistycznych, które trzeba by w to zaangażować, czynią taką możliwość nierealną, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości – mówi prof. Haman.

– Próbuje się eksperymentalnie wywołać deszcz. Sam uczestniczyłem w takim doświadczeniu w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Skończyło się niepowodzeniem, nie udało się wywołać deszczu. Ale nawet jeśli eksperyment by się powiódł, to nie potrafimy go dobrze zweryfikować. Skąd pewność, że to nam się udało coś zmienić, a nie, że pogoda właśnie się zmieniła? Nie ma przecież

w przyrodzie dwóch takich samych sytuacji meteorologicznych – opowiada dr Markowicz.

Profesor Haman tłumaczy, że z powodu skomplikowania układu atmosfera – reszta Ziemi nie sposób przewidzieć wszystkich skutków ubocznych takich przedsięwzięć, a niektóre mogłyby być katastrofalne.

– Na mniejszą skalę już od połowy ubiegłego wieku wpływa się na naturalnie powstałe chmury, mgły i opady. Technika takich oddziaływań jest dobrze opracowana, lecz by osiągnąć pożądany efekt ekonomiczny, trzeba by ją bardzo precyzyjnie dostosować do konkretnych warunków meteorologicznych – dodaje. – Istnieją na świecie firmy, które oferują usługi tego rodzaju, ale ich działalność ogranicza się do szarlatanerii.

Pył wulkaniczny nad Europą

Nie oczekujemy od naukowców, że będą zmieniać pogodę, ale chcielibyśmy, aby ich badania pomogły nam chronić się przed skutkami mgieł, np. utrudnieniami w transporcie czy wypadkami – na lądzie, morzu i w powietrzu.

– Głównym zagrożeniem ze strony mgieł występujących na morzu jest poważne ograniczenie widoczności – mówi prof. Tomasz Petelski z Instytutu Oceanologii PAN. Rzadziej oblodzenie statku spowodowane mgłą.

– Przez prawie 35 lat pracy na morzu nie widziałem wypadku związanego z oblodzeniem, ale wiem, że bywają – opowiada profesor.

Na lądzie urządzenia do pomiaru mgły instaluje się coraz częściej przy drogach. Prawdopodobnie za parę lat samochodowe GPS-y będą odbierały sygnały i zaznaczały mgły na mapach.

W ruchu lotniczym mgły stanowią poważny kłopot, dlatego dużą wagę przywiązuje się do ich pomiaru i przewidywania. Zwykle mierzy się widzialność za pomocą urządzeń optycznych, a do pomiaru w pionie służą przyrządy, które emitują światło laserowe. – My takie urządzenie (lidar i ceilometr) mamy – mówi dr Markowicz z Instytutu Geofizyki. – Wykrywamy nim też poziom oraz ilość aerozoli. Szkoda tylko, że decydecji nie bardzo słuchają naszych uwag. Gdy mierzyliśmy pyły z islandzkiego wulkanu, wiedzieliśmy, że jest ich niewiele (potwierdzały to wszystkie stacje), a jednak wstrzymano ruch lotniczy na wiele dni. Na konferencjach prasowych powoływano się na niedokładne modele transportu zanieczyszczeń oraz na satelity, a na nich przecież niewiele było widać. Dlaczego jednak decydecji wstrzymali ruch powietrzny nad Europą? Cóż, ich racje były nieco mgliste. ●

Brzoza

Nieunikniony element polskiego krajobrazu, brzoza brodawkowata, jest drzewem wieloczynnościowym: ogrzewa nasze domy, zachwyca artystów, leczy ciało i duszę. A jak nie da rady wyleczyć, to przynajmniej ozdobi nagrobek białym krzyżem

staci spirytusowego ekstraktu. W PRL alkohol w tej postaci można było wyjątkowo spożywać o dowolnej porze, nie dopiero od 13, i w dodatku od razu w miejscu zakupu.

Brzoza przed 13

Najstarszym chyba preparatem leczniczym otrzymywanym z brzozy był dziegieć. Jakieś 500 lat temu Polska słynęła z produkcji tej mazi powstającej podczas wypalania brzozy kory bez dostępu powietrza. Dziegieć był także towarem eksportowym. Dość paskudny w zapachu i smaku służył nie tylko do leczenia ran i opatrywania końskich kopyt, ale też do uszczelniania beczek i smarowania osi wozów. Dziś zostało po nim tylko staropolskie przysłowie: „Kto smaruje, ten jedzie”.

Najnowszym zaś brzozowym przebojem farmaceutycznym jest betulina, związek organiczny zawarty w korze brzozowej i nadający jej charakterystyczną białą barwę. Badania prowadzone przez chińskich naukowców na myszach wykazały, że betulina może leczyć cukrzycę i wspomagać odchudzanie. Zanim jeszcze Chińczycy ogłosili wyniki swoich badań, betulinę już dodawano do kosmetyków, bo znane były jej właściwości bakteriobójcze i przeciwtrądzikowe.

Dzięki tej samej betulinie brzoza doskonale nadaje się na drewno kominkowe. Betulina jest łatwopalna, więc szczapy rozpalają się błyskawicznie, nawet tuż po ścięciu, całkiem jeszcze mokre. Palą się jasnym, dziarskim płomieniem, aż przyjemnie popatrzyć. Ale dają niewiele ciepła, bo drewno jest mało energetyczne. Chociaż producenci brzozy opałowej twierdzą inaczej.

Drewno brzozy stanowi natomiast ceniony materiał meblarski. Pod warunkiem, że zostanie fachowo wysuszone, bo inaczej się paczy. Niezbyt twarde, mocne, elastyczne, ciągliwe i giętne dobrze się poddaje obróbce toczeniem oraz skrawaniem płaskim i obwodowym. Klepka brzozowa wydawała się jeszcze niedawno wręcz niezastąpiona, ale odkąd Polacy zachły-

snęli się ogrzewaniem podłogowym, wybierają raczej parkiety z egzotycznych gatunków jak teak, merbau albo iroko, które mają prawie o połowę mniejszy współczynnik skurczu.

Brzoza nasza

Mimo tej drobnej zdrady my, Polacy, zasadniczo kochamy brzozę. Niemal każdy z wielkich polskich poetów od Adama Mickiewicza poprzez Kazimierza Tetmajera, Adama Asnyka, Juliana Tuwima po Jana Brzechwę napisał wiersz o brzozie. W poezji drzewo to nieodmiennie jest kobietą. Budzącą pożądanie, współczucie, tklivość. Podobnie jak w prozie: „Pnie te białe, gładkie, toczono, przypominały mu tutaj ramiona kobiece, mnóstwo splecionych ramion, wznoszących się w górę gestami błagania, uniesienia, czasem odgiętych ku dołowi ruchem poddania i rezygnacji” – pisał w opowiadaniu „Brzezina” Jarosław Iwaszkiewicz. Traktowanie brzozy jako kobiety nie znajduje jednak naukowego uzasadnienia. Należy ona do roślin jednopieniennych, co znaczy, że kwiatostany męskie i żeńskie występują na tym samym drzewie.

Pisano nie tylko o brzozie, ale też na brzozie. Jeszcze w 1947 r. od syberyjskich zesłańców przychodziły do Polski listy na brzozowej korze, a poeta Zdzisław Broncel spisał na niej swoje „Sonety uralskie”.

Brzoza ma jednak wrogów. Należą do nich łodek brzozowiec, rytel pospolity i drwałniki. Spośród ludzi jej nieprzyjaciółmi są alergolodzy, którzy uważają, że to piękne drzewo wywołuje uczulenia. I to tak perfidne, że osobie wrażliwej na pyłki brzozy szkodzą orzechy, migdały, brzoskwinie, banany, kiwi, pomidory, marchew, jabłka, gruszki, czereśnie i seler.

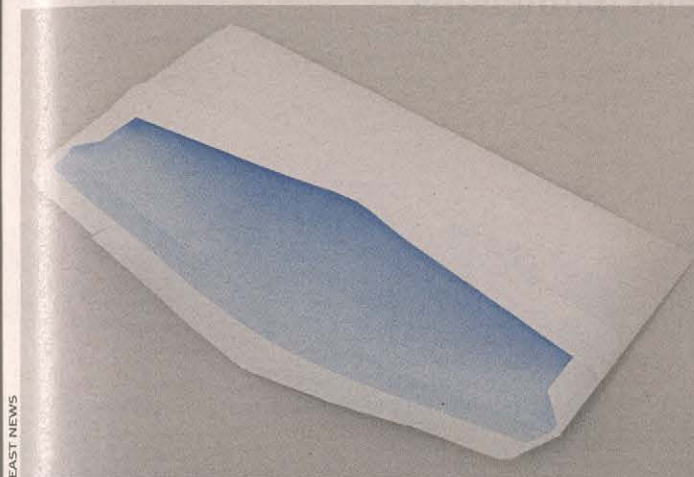
Wyraźnie widać, że brzoza ma mnóstwo zalet i prawie żadnych wad. Dlatego jest najbardziej polskim z występujących w Polsce drzew. I trzeba wyraźnie podkreślić, że zakusy Finów i Rosjan, którzy uzurpują sobie prawa do uznania brzozy za swoje narodowe drzewo, nie mają żadnych podstaw.

TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrodę!

JOANNA OMORSKA



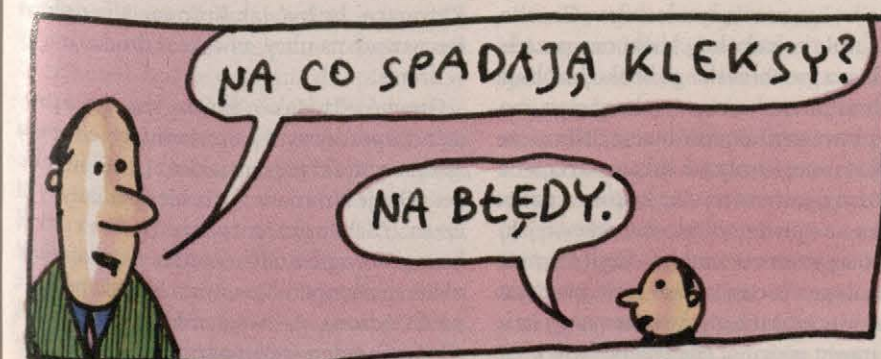
1. Dlaczego przy otwieraniu kopert, w których został fabrycznie naniesiony klej, emitowane jest słabe niebieskie światło?

Nad tym z pozoru nieistotnym drobiazgiem od dawna zastanawia się naukowy świat. Nie z powodu nikłego niebieskawego światła, jakie przy rozklejaniu kopert samoklejących dostrzegamy wzrokiem, a dlatego, że paski kopert (i taśma samoprzylepna) emitują również promieniowanie X, czyli to stosowane przy prześwietleniach rentgenowskich. Promieniowanie to jest tak silne, że pozwala na „zajrzenie w głąb palca”. Za ten niezwykle proces emisji, występujący także w innych przypadkach (uderzanie kostek cukru, pocieranie kwarcu), odpowiada fizyczne zjawisko tryboluminescencji. Jego mechanizm nie jest jeszcze poznany, prawdopodobnie wynika on z pęknięcia wiązań asymetrycznych w materiałach o strukturze krystalicznej.

Jeśli takie ciało jest łamane czy pocierane, następuje emisja energii (tryboluminescencja emisyjna). Towarzyszy jej często emisja elektronów (egzoemisja).

To oczywiście tylko jedna z kilku teorii. Ale „problemem kopert” zajął się m.in. zespół badawczy z UCLA (University of California, Los Angeles), który opisał swoje doświadczenia w tygodniku naukowym „Nature” (Nr 455, 2008). Nie, nie należy się niepokoić – z badań wynika, że używanie kopert samoklejących i taśmy samoprzylepnej jest bezpieczne. Aby doszło do emitowania nanosekundowych błysków promieniowania rentgenowskiego, taką taśmę trzeba odwijać w próżni, której przecież nie da się osiągnąć w warunkach domowych.

MAREK RACZKOWSKI



2. Co „widzi” niewidomy od urodzenia człowiek? Czy jego mózg wytwarza jakikolwiek obraz? Jeśli tak, to jaki?

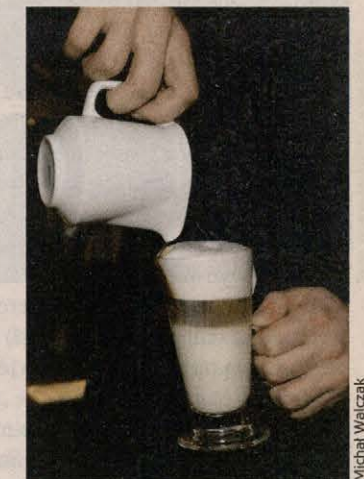
Osoba niewidoma od urodzenia nie widzi obrazów w zwykłym tego słowa rozumieniu. Ale może na przykład tworzyć w umyśle „mapy echolokacyjne”. Echolokacja polegająca na odbiorze zwrotu sygnału dźwiękowego (odbicia fali dźwiękowej) stosowana jest przez wąską grupę niewidomych. Nauka tej techniki jest bardzo trudna, ale dzięki cichemu klaskaniu i interpretacji brzmienia odbitego od przedmiotów pozwala na stworzenie obrazu dźwiękowego, przypominającego to, co widzimy na radarze – trudną do opisanego osobie widzącej, trójwymiarową sferę dźwięku. Warto tu dodać, że echolokacja



niewidomych pozwala nie tylko na określenie kształtu i wielkości przedmiotów, ale nawet rodzaju materiału, z którego są one stworzone.

3. Czy to prawda, że mleko dolane do kawy zmniejsza (lub nawet zupełnie niweluje) działanie kofeiny?

Mleko w kawie na pewno nie likwiduje kofeiny. Gdyby tłuszcz miał tak silny związek z neutralizacją tego związku, kawa nie działałaby również wtedy, gdy po jej wypiciu zjedlibyśmy kanapkę z boczkiem czy wypilibyśmy jogurt. W kwestii teorii, że kofeina rozpuszcza się w wodzie, a wiąże się z proteinami mleka, przez co kawa mniej pobudza, trudno mieć jednoznaczne zdanie, bo opinii (często nawiązujących do badań niedających się zweryfikować) jest bardzo wiele. Proponuję więc wybrać trzecią drogę. Kofeina słabo rozpuszcza się w zimnej wodzie, a dodanie do gorącego napoju zimnego mleka dodatkowo proces ten spowalnia lub częściowo znosi. Zmniejsza się tym samym moc oddziaływania kofeiny. Mleko sprawia dodatkowo, że z organizmu wypłukuje się mniej magnezu. To z kolei niesie ze sobą taki skutek, że



po wypiciu białej kawy czujemy się spokojniejsi niż po prawdziwym czarnym szatanie.

Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespoleństwo nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



MAREK BIEŃCZYK

To piękna książka. Stasiukowi jedno mam za złe – tytuł, nie dlatego, że szwankuje, przeciwnie, jest świetny. Tyle że sprzątnął go nam, innym grochowiakom, sprzed nosa i opatrzył nim 50 stron, z których o Grochowie jest 30. Dlaczego nie tysiąc? Za mało było ciemnych uliczek za placem Szembeka albo barów jak Zagłoba tuż obok pogotowia ratunkowego? Zapałem się przekornie kopytami, z nadzieją, że nie dam się porwać, choć też znam do najmniejszego feromonu ten zapach piekarni przy Wiatracznej i też macałem każdy kamień na Garwolińskiej. Nie udało się, przeczytałem jednym tchem, skończyłem lekturę mokry: ten pot jest najlepszą recenzją.

„Grochów” – cztery opowiadania – jest właściwie krótką książką o umieraniu. Stasiuk (czy narrator Stasiuka) wraca do dzieciństwa, opowiada o babce z Podlasia i o tym, jak na wsi witało się kostuchę. Opowiada o umieraniu Augustyna w przytułku; Augustyn nadesłał kiedyś na konkurs literacki nowelkę, a ta spodobała się Stasiukowi, który pojechał poznać jej autora. Opowiada też o umieraniu swego psa. A tytułowy wspaniały „Grochów” jest długim trenem żałobnym, wspomnieniem o samotnym umieraniu przyjaciela, z którym wspólnie przeżył młodość. Nigdy nie było u Stasiuka tyle odchodzenia naraz, i to spod własnej pazuchy: wynoszą mu się z tego świata bliscy i ich rozproszone w czasie śmierci, zebrane teraz pod dachem jednej książki, niezwykle zagęszczają opowieść; ta proza jest jak czarny likier.

Jest to także krótka książka o uwięzieniu w losie i o uciekaniu od niego. Samo słowo „los” przewija się przez te strony jak refren, to stały demon Stasiuka. Zawsze go hipnotyzowało unieruchomienie, potulny bez-ruch istnienia, a pojęcie losu utożsamiał z utknięciem w jednym miejscu, z zamknięciem we własnym życiu. Tak żyli, akceptując wszystko, jak leci, dziadkowie, rodzice (a także jego umierająca suka): w rodzaju nadanej z góry i zniewalającej pierwotności, z którą nie próbuje się nawet podjąć negocjacji. W przełożeniu na język socjologiczny równa się to uwięzieniu w klasie społecznej, we własnym klasowym statusie. Dziadkowie – chłopci ze wsi podlaskich, rodzice – robotnicy grochowscy zdają się raz na zawsze skazani na życie, jakie czyhało na nich już w chwili przychodzenia na świat ze swym gorsetem tradycji i biedy.

Grochów w najnowszym zbiorze opowiadań Stasiuka jest miejscem początków i umierania, a nade wszystko uporczywego pamiętania



Krótką książką o umieraniu

Przeto bohaterowie tytułowego „Grochowa”, kumple ze szkolnej ławki czy przede wszystkim z grochowskiego bruku, próbują uruchomić nieruchome, wymknąć się z imadła, rozpirzyć swą młodość inaczej. Nie może to przyjąć innej formy jak lokalne szlajanie się, a później szwendanie się krajowe i nawet zagraniczne – po demoludach, najłatwiej dostępnej nam wówczas inności – czyli w sumie wieczna dezercja czy, jak kto woli, postbeatnikowanie w czasach gierkowszczyzny, Jaruzela, a nawet później. Nie trzeba było znać

Kerouaca, by być jak Kerouac à la polona-ise, zawsze na ulicy, zawsze w drodze, nigdy w domu.

„Grochów” to także krótka książka o przyjaźni i uporczywym pamiętaniu, grochowska „godzina myśli” niczym jakieś echo Słowackiego. „Oto jest romans życia nieskładany w niczem.../Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci-kona,/A drugie z odwróconym na przeszłość obliczem/Rzuciło się w świat ciemny... powieść nieskończona...”. Dwóch młodych przyjaciół, z których jeden – ten może mądrzejszy, może

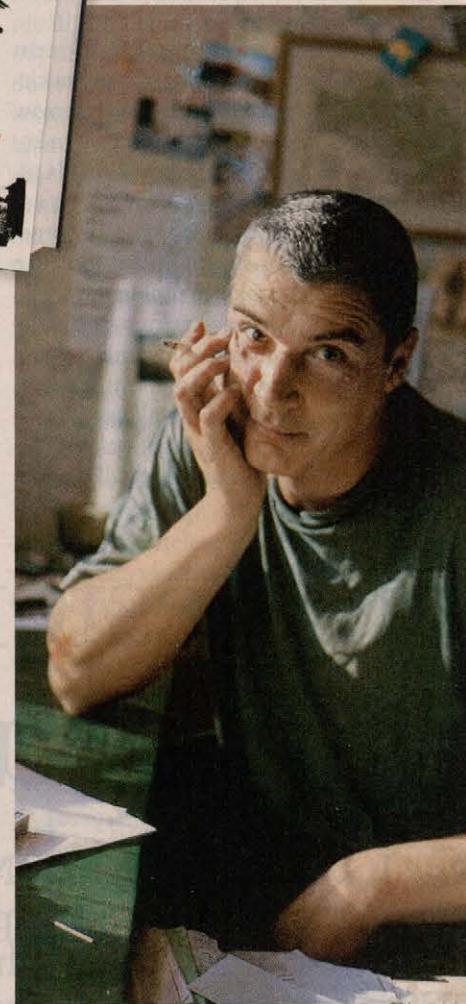
nawet bardziej wnikający w sedno, lecz szybko naznaczony śmiercią – umiera, a drugi przetrwa, będzie pisał, będzie wspominał i opłakiwał.

Stasiuk w tej opowieści wyklada oczywiście karty ze swej znanej talii, wciąż w swym gądo-ku, nawraca, miesza różne epoki. W podróży transie znowu staje się na chwilę donżuanem przestrzeni, miejsc podbijanych jednym rzutem oka, jednym zdaniem obliczem/Rzuciło się w świat ciemny... powieść nieskończona...”. Dwóch młodych przyjaciół, z których jeden – ten może mądrzejszy, może

ziemskie odbłaski odwiecznego światła. Ale jest zarazem tak blisko zmarłych, swoich zmarłych i ich siedzib, że ma się wrażenie, iż zamiast rozproszenia, rozwiewania się po tyśięcznych miejscach, odbywa się tu zacieśnianie, topograficzna koncentracja. Odczuć w tym można ruch powrotu do przestrzeni prawdziwie własnych, powolne domykanie się koła życia, spełnianie własnego losu, którego najdłuższymi nawet włóczęgami nie da się wyprowadzić w pole, tak jak nie da się wypłuć z siebie geografii, która nas ukształtowała.

Więc jest Grochów, święta i przeklęta geografia początków, zona po drugiej, gorszej stronie miasta, spoglądająca na nie z oddali, wykłuczona, niskopienna, przytulona do swych obrzeży, śmietników i chaszczy na skraju, ziemia półjałowa. Wobec tej ziemi, wobec piasków i gliny Stasiuk jest wierny; to – zdaje się – wyniesiona z domu chłopska wierność glebie. I może dlatego, rzucając na wiatr prochy przyjaciela, nie umie pojąć kremacji jako zdrady ziemi, której przecież trzeba oddać choć to jedno, własny szkielet.

„Grochów” jest, tak czuję, pierwszą książką Stasiuka starego, lecz przecież „powieść jeszcze nieskończona”. Bardzo lubię z niej jeszcze jeden fragment, ten o sposobie, w jaki przyjaciel prowadził samochód, „lekko pochylo-ny, jakby czuł na sobie pęd przestrzeni, jakby chciał stawiać jak najmniej opór”. Później Stasiuk będzie ten fason bezwiednie naśladował. Niby to drobiazg, ale ten, kto w „Ghost Dogu” widział za kierownicą Foresta Whitackera, łatwo zrozumie, o co chodzi.



Piotr Janowski/AGENCJA GAZETA

Sławomir Kamiński/AGENCJA GAZETA

Mówiłaś, że w Polsce jesteś feministką, a za granicą nie.

– Trudno mi powiedzieć. Pewnie tak. Jestem wręcz natural born feministką. Czytałam kiedyś tekst Magdaleny Środy na temat kursów samoobrony dla kobiet. Pokazywano tam kobietom, że one też mogą uderzyć. Środa pisała o wyzwoleniu agresji, o czymś, co zostało kobietom odebrane. Dopiero gdy przeczytałam ten tekst, uświadomiłam sobie, że ja nigdy nie miałam takiego problemu. Środa musiała chodzić na specjalny kurs, żeby uderzyć, a ja od dziecka biłam, potwornie tłukłam chłopaków, dziewczyny. Jak ktoś mnie zaczepi na ulicy, to nie boję się zaatakować.

Jestem feministką, ale nie lubię – jak już nie raz wspominałam – być przyporządkowywa-

nie. Potem wszyscy im mówią, jak dzieci wychowywać – czy karmić piersią, czy nie, jak długo. Niektóre kobiety chcą karmić piersią, inne nie, a facet staje nad głową i mówi: „Masz karmić do szóstego miesiąca, bo jak nie będziesz, to dziecku spadnie odporność”. Oczywiście nic go nie obchodzi zdanie kobiety.

We Francji jest inaczej?

– Tam najbardziej rzuca mi się w oczy traktowanie kobiet jak obiektów seksualnych. Mężczyźni patrzą na ciebie tak, jakbyś składała się tylko z tyłka i cycków. Ale pod względem macierzyństwa, samodzielnych decyzji i tym podobnych mają znacznie lepiej.

No tak, na studiach dostawałaś lepsze stopnie za ładne nogi i wtedy ci to nie przeszkadzało?

Nie jestem psem na łańcuchu

Nie lubi być określana. Nie przejmuje się zarzutami, że jest nieodpowiedzialną matką. I wszystkim kobietom chciałaby powiedzieć: „Nie dawajcie się”. O tym Agnieszce Wiśniewskiej z Krytyki Politycznej opowiada reżyserka **MAŁGORZATA SZUMOWSKA**

na do jakieś grupy. Nie mogłabym nawet być członkiem Krytyki Politycznej, bo to członkowieka wyraźnie określa. Nienawidzę takie go określania.

A dyskryminację kobiet widzisz?

– W Polsce bardzo, za granicą mniej. U nas wkurza mnie, że kobieta jest przywiązana do rodziny jak pies na łańcuchu, a facet nie ma w domu żadnych obowiązków. Oczywiście podpisałam się pod ustawą o parytetach itd.

Wkurza cię wizerunek matki Polki.

– Kobiety w ciąży są traktowane jak jakieś święte w pogańskich plemionach bądź po prostu byle jak. Brak balansu.

Stan błogosławiony.

– Weź przestań (śmiech). Faceci im mówią, jak mają rodzić – czy cesarskie cięcie, czy

– A teraz przeszkadza mi wszędzie – w reklamach, w serialach, w pracy. Środowisko filmowe pod względem postrzegania kobiet jako obiektów seksualnych niczym się nie różni od reszty świata. Niestety. Nigdy nie uważałam się za osobę atrakcyjną i nigdy się tym nie przejmowałam, natomiast zarzuty, że było mi łatwiej zrobić karierę, bo jestem ładna, słyszałam nieraz. Ale samym wyglądem filmu nie zrobisz.

Nie wchodzisz czasem w taką napisaną przez społeczeństwo rolę ładnej laski?

– Zależy od dnia. Czasem będę się podśmiewała, a czasem powiem od razu: „Spierdalaj!”.

Drażni cię seksizm, ale wchodzisz w takie gierki i w rolę słodkiej idiotki?

– Wkurza mnie, że kobiety na to pozwalają. Chciałabym nimi potrząsnąć i powiedzieć:



Maciej Zielenkiewicz/AGENCJA GAZETA

„Nie dawajcie się”. Ze mną to inna sprawa. Ja mogę stawiać granice, robię, co chcę, sama decyduję, bawię się czasem konwencją, jak reżyser.

Może one też.

– Większość kobiet, które znam, siłę czerpie z obecności faceta, ja nie. Nie liczę na mężczyzn, liczę na siebie. Mogę sobie poplirtować, bo nic nikomu nie daję, chyba że osobie, z którą jestem.

Wspomniałaś, że świat filmu niczym nie różni się od innych dziedzin życia. Rzeczywiście jest w nim równie mało kobiet. Czy reżyseria to męski zawód?

– Reżyseria to nie jest zawód przyjazny kobietom. Trzeba być bezwzględny, trzeba pić wódkę.

Ciekawe, że o tej wódce mówi też często Agnieszka Holland.

– Nie można się nad sobą rozczulać. Dziewczyny z mojego roku wszystkie się wykrużyły. Płakały przy realizacji etiudy. Nie ich wina, jasna sprawa, tylko uwarunkowań społecznych, ale nie wytrzymały tego tempa. Plan filmowy wygląda jak manewry wojskowe – ekipa chodzi w militarnych ciuchach, klnie. Trzeba być twardą, żeby przetrwać te manewry..., no i ta wódka. Trzeba być twardą, żeby za szybko nie paść.

Myslałam, że dziś jest łatwiej. Opowieści Holland to jednak historie sprzed 30 lat.

– Niby różnice płciowe się zaciera. Na ulicy trudno odróżnić chłopaka od dziewczyny. Upodabniamy się nie tylko fizycznie, ale też mentalnie. Faceci stają się kobiety, kobiety męskie. Z czasem kobiety zaczną dominować w świecie.

?

– Są mniej głupio ambitne, mają siłę. Też siłę natury. Fascynuje mnie to, że kobiety są tak blisko natury. Feministkom się to pewno nie spodoba (śmiech). Fascynuje mnie seksualność kobiet, to, że miesiączkują, że mają piersi i w nich mogą mieć mleko, że rodzą dzieci. Magiczne. Niekoniecznie muszą z tego korzystać, to ich wolna wola, ale gdy spotykam naprawdę silną, wyzwoloną kobietę, nieważne w jakim wieku, to mnie fascynuje. Kobiety są ciekawsze od facetów, lecz bardzo stłumione społecznie rolami matek, kochanek, żon, nie mają czegoś swojego, oddają się.

Poród był dla ciebie przeżyciem magicznym?

– Tak. Chciałam mieć dziecko, ale nie zwracałam jakieś szczególnej uwagi na to, że jestem w ciąży. Do końca pracowałam, nie oszczędzałam się. Zaszłam w ciążę po śmierci rodziców. To był szczególny moment w życiu. Do siódmego miesiąca nic nie było po mnie

widać i nikt o mojej ciąży nie wiedział. Jestem przeciwna robieniu z ciąży wielkiego zbiorowego przeżycia.

Pobyt w szpitalu wspominać źle. Moje koleżanki miały dziesięć razy gorzej niż ja, bo ja miałam to nieźle pozalatwane. I wiem, że to niesprawiedliwość społeczna, ale takie jest życie. Chciałam mieć w szpitalu salę jedynek i miałam. Ale co z tego? Co ciekawe, najgorzej wspominałam pielęgniarki pracujące na oddziale, miałam wrazenie, że traktują te, które pierwszy raz rodziły, jak traktuje się „koty” w wojsku. Miałam poczucie, że mnie upokarzają, a ja leżałam i byłam przecież bardzo słaba.

I co zrobiłaś?

– Powiedziałam po pierwszym dniu, że wychodzę. Chciałam iść do domu. Dowiedziałam się od kogoś, kto był na dyżurze, że jestem nieodpowiedzialną wariatką, że mogę zrobić dziecku krzywdę. Zadzwoiłam do koleżanki, lekarki od noworodków, porozmawiałam, wyjaśniłyśmy sobie wszystko, ona powiedziała, że jej zdaniem mogę wyjść na własne życzenie. Podpisałam papiery, że biorę odpowiedzialność za dziecko i z dużą satysfakcją zabraliśmy z partnerem Maćka do domu. A w domu zapalałam papierosa, napiłam się wina i wkurzyłam się, że mi brzuch nie zszedł, bo myślałam, że zejdzie. I, o dziwo, to był najpiękniejszy tydzień, choć wszyscy mówią, że pierwszy tydzień z noworodkiem to koszmar. Straciłam rodziców i teraz znów miałam kogoś bliskiego. Jasne, że czułam się średnio, potrzebowałam rekonwalescencji, ale miałam kogoś, kto był cały czas przy mnie. Mój facet pojechał kupić jakieś rzeczy dla dziecka, bo nic nie mieliśmy. Koleżanki radziły mi, że coś trzeba kupić, a ja z przekory nie słuchałam tych podpowiedzi.

Co jeszcze doradzały koleżanki?

– Czym karmić dziecko. I żeby się za dużo nie ruszać, żeby dużo jeść, nie ćwiczyć i coś o kolorze jeszcze mówiły... I żeby nie otwierać okien, bo przeciąg. Przeciąg był cały czas, a Maciek nie choruje, ma sześć lat i nawet antybiotyku nie dostał nigdy. Zahartowany.

Kupujesz synowi lalki?

– Oczywiście.

A samochody?

– Samochody też. I pytam go, czy jest heteroseksualny. Mówi, że jeszcze nie wie. Mam tylko nadzieję, że nie będzie nawalonym testosteronem nastolatkiem, który jest chamski w stosunku do matki.

Po porodzie do razu wróciłaś do pracy?

– Tak. Trzy tygodnie po nim stałam na planie filmu. Lekarz powiedział mi, że to nieodpowiedzialne, bo stracę pokarm, i muszę dużo odpoczywać. A my po planie braliśmy rowery i jechaliśmy na Kazimierz. Z Maćkiem. Braliśmy go wszędzie. Do drugiej siedziliśmy na mieście. Ludzie krzyczeli, że to skandal, że z dziećmi to się w domu siedzi, a nie po knajpach ciąga. Dzieci nigdzie najlepiej nie brać. Najlepiej niech matka siedzi w domu zamknięta trzy lata. Kiedy byłam we Włoszech, to wszędzie w knajpach były dzieci, nawet o drugiej w nocy, spały sobie w wózkach.

Matki w Polsce siedzą z dziećmi w domach.

– Wiem. Uważają, że to ich obowiązek. Nawet wykształcone, niby-nowoczesne kobiety z mojego środowiska tak robią. W sumie niewiele jest miejsc, gdzie można wyjść z dzieckiem. Teraz przynajmniej nie pali się w knajpach, ale kącików dla dzieci, zabawek nie ma.

W Nowym Wspaniałym Świecie są.

– W Warszawie jest z tym coraz lepiej. Można też chodzić do kogoś do domu. Ja przychodzę do znajomych z dzieckiem, siedzimy do jedenastej, dwunastej, dzieci się bawią, jeśli zasną, to uśpione wrzucam do taksy. Moi znajomi zazwyczaj nie idą na ósmą do pracy, więc dziecko nie musi o dwudziestej pierwszej spać w swoim łóżku. Może spać na kanapie u znajomych. Może będzie to dla niego urozmaicenie.

Ja zasypiałam na stole bilardowym w klubie, który prowadziła moja mama.

– I wyszłaś na ludzi. Nie wiem, czemu matki myślą, że muszą spędzić trzy lata w domu, że dziecko jest najważniejsze, ważniejsze od partnera, od nich. To błąd. Dziecko zaczyna męczyć matkę, bo ta spędza czas tylko z nim, staje się sfrustrowana, nerwowa. Niszczy się relacja z partnerem, bo dziecko jest od niego ważniejsze, od niego i od niej samej. Spędzam miesiąc w Paryżu i żyję tam jak studentka, bo kończę montaż filmu. Maciek zostaje z tatą. Po powrocie przyzwyczajenie się do dziecka zajmuje mi chwilę. I to jest normalne. Nie wyobrażam sobie, że jestem cały czas z dzieckiem i tylko z nim.



Wywiad jest fragmentem książki „Szumowska. Kino to szkoła przetrwania”, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Krytyki Politycznej

Zgliczyński odpala kolejne rakiety w kierunku książki „Nowy wspaniały Irak” Mariusza Zawadzkiego. Przeprasza też za błędy

O Iraku raz jeszcze

STEFAN ZGLICZYŃSKI

Przekrój z 12 marca br. zamieścił moją krytyczną recenzję książki „Nowy wspaniały Irak” Mariusza Zawadzkiego, korespondenta „Gazety Wyborczej” w USA. Kilka dni później Zawadzki odpowiedział na nią tekstem w „GW” pt. „Ci podli jankesi”, w którym ironicznie opisuje mój „nokaut” swojej książki, konkludując, iż krytykując książkę za jej groteskowy charakter, sam staje się groteskowy.

Cóż, nie jest to najcięższy zarzut, jaki można wytoczyć mojemu krótkiemu omówieniu. Zawadzki przemilcza litościwie, że wprowadziłem w błąd czytelników, pisząc, iż autor książki nie wspomina słowem o Faludży, Abu Ghraib i irackich uchodźcach. Zawadzki nie jest idiotą, a więc o tak znanych medialnych faktach musiał w książce o wojnie irackiej napisać, a mnie pozostaje jedynie w tym miejscu przeprosić autora oraz czytelników i spróbować wytlumaczyć okoliczności mojej pomyłki.

Otóż czytając książkę Zawadzkiego (skądinąd napisaną z polotem, swadą i poczuciem humoru), miałem wrażenie, że czytam książkę przygodową o perypetiach zaplątanego w wojnę rodaka, który patrzy na nią okiem ironicznego obserwatora, ot, takiego Yossariana z „Paragrafu 22” Josepha Hellera. Stąd zbrodnie amerykańskiej armii, udokumentowane i udowodnione (ale nieosądzone i nieukarane), stanowiące pogwałcenie konwencji międzynarodowych i prawa międzynarodowego (na czele z bezprawnym, w świetle tego prawa, samym atakiem na Irak) stają się w lekturze nieznaczącymi szczegółami, które – o ile w ogóle wspomniane – nie zostają w pamięci jako zupełnie niepasujące do tonu i konwencji książki.

W Polsce książek o Iraku ukazało się tyle, że można je policzyć na palcach jednej ręki, a książka Zawadzkiego, ze względu chociażby na status autora i wydawnictwa, będzie zapewne na długie lata książką w pewnym sensie kanoniczną. Stąd moja gniewna reakcja polegająca na jej odrzuceniu. Bo to trochę tak, jakby wiedzieć o I i II wojnie światowej albo o wojnie

w Wietnamie czerpać ze wspomnianego „Paragrafu 22” czy „Czasu Apokalipsy” Coppoli. Dzień wybitnych, ale nieoddających ani skali, ani istoty przedstawianych wydarzeń.

Zapomniana rocznica

Czepiam się konwencji? Niezupełnie, chodzi mi o zasadę, no i może trochę o zwykłą przyzwoitość. 20 marca minęła dziewiąta rocznica, kiedy siły koalicji anglo-amerykańskiej przy wsparciu 2 tys. Australijczyków i 200 Polaków z jednostki specjalnej „Gro”, nie mając umocowania prawnego w postaci rezolucji ONZ, napadły na Irak. Efekt tej napaści jest przerażający. Zawadzki w swoim artykule wojnę iracką podsumowuje tak: „Najeźdźcy utopili na irackiej pustyni bilion dolarów i odjechali. W nieudanym eksperymencie z inżynierii społecznej straciło życie 4,5 tys. Amerykanów i przynajmniej sto kilkadziesiąt tysięcy tubylców”. I tyle. Trochę tak, jakby przedstawiciele obcej cywilizacji chcieli udoskonalić świat, wybierając za cel Irak, a po jakimś czasie zabrali swoje zabawki z dużej piaskownicy i zniechęceni odlecieli na swoją planetę.

„Idiotyczna” wojna w Iraku wyglądała według Zawadzkiego „w największym skrócie” tak: „11 września 2001 r. Amerykanie zostali zaatakowani przez arabskich terrorystów, nie wytrzymali psychicznie i uroili sobie, że muszą ucywilizować Bliski Wschód, żeby atak więcej się nie powtórzył”. Genialnie proste, prawda?

Podobnie można opisać każdą agresję imperialną, nie wyłączając ataku Hitlera na ZSRR. Gdyby było rzeczywiście tak, jak pisze Mariusz Zawadzki, Amerykanie powinni zaatakować Arabię Saudyjską, której prominentnymi obywatelami byli bin Laden i większość zamachowców z 11 września. Bo Saddam Husajn nie z Al-Kaidą wspólnego nie

miał i za jego panowania terrorystów w Iraku nie było.

Przeciwnie, przywódca Iraku przez długie lata był sprzymierzeńcem USA, szczególnie w czasach swojej krwawej, wieloletniej wojny z największym wrogiem Ameryki na Bliskim Wschodzie – Iranem. Amerykanie hojnie dofinansowywali reżim iracki, wiedząc doskonale, że środki te zostaną przez Bagdad przeznaczone na zbrojenia i rozwój programów



Mohammed Jallil / PAP/EPA

broni masowego rażenia – w tym biologicznej i chemicznej. Kiedy 16 marca 1988 r. wojsko irackie dokonało ataku gazowego na kurdyjskie miasto Halabdzja, zabijając 5 tys. jego mieszkańców, Waszyngton milczał. Nie dość, że ataku tego dokonano za pomocą helikopterów produkcji amerykańskiej, to cztery miesiące później amerykański gigant budowlany Bechtel, kierowany przez republikańskich przyjaciół administracji Bushów, dostał kontrakt od władz irackich na budowę ogromnej fabryki chemicznej.

Przyjaźń pomiędzy Husajnem i Białym Domem zakończyła iracka aneksja Kuwejtu w 1990 r. W styczniu 1991 r. Amerykanie zaatakowali Irak, zmuszając jego wojska do wycofania się z zajętego emiratu. Przez pierwszy tydzień operacji Amerykanie wraz z sojusznikami rzucili na Irak więcej bomb, niż spadło na całą III Rzeszę w 1944 r. Podczas tej interwencji zabito około 35 tys. żołnierzy irackich. Ogólną liczbę ofiar irackich operacji „Pustynna Burza” ocenia się dziś na ok. 100 tys.

Po zakończeniu interwencji Irak, na wniosek USA i Wielkiej Brytanii, obłożono mordczymi sankcjami międzynarodowymi, dotyczącymi m.in. importu leków. W ich wyniku w ciągu dekady umarło w Iraku pół miliona dzieci, co ówczesna amerykańska sekretarz stanu Madeleine Albright skwitowała słynnym „było warto”. Zaczęto ściśle kontrolować iracki eksport ropy naftowej, zaś przestrzeń po-

Po inwazji na Afganistan decydenci znad Potomaku skwapliwie przystali na „idealistyczny”, jak go nazywa Zawadzki, plan zastępcy sekretarza obrony Paula Wolfowitza – zaprowadzenia siłą demokracji nad Tygrysem. Dziwnym trafem Irak posiadał jedne z największych światowych rezerw ropy, zaś prezydent George W. Bush i jego świta byli naftciarzami – sam Bush w latach 1978–1984 był jednym z wyższych menedżerów kompanii naftowej Arbusto Energy/Bush Exploration, a później (1986–1990) kompanii naftowej Harken, wiceprezydent USA Dick Cheney w latach 1995–2000 był szefem koncernu naftowego Halliburton (firma ta wypłacała mu okragły milion dolarów rocznie w charakterze rekompensaty za cały okres marnie wynagradzanego wiceprezydentowania USA), zaś doradca ds. bezpieczeństwa Condoleezza Rice była w latach 1979–2000 szefową rady nadzorczej koncernu naftowego Chevron. A to tylko czubek góry lodowej.

Przypadek? Bynajmniej. Po ataku na Irak w 2003 r., którego bezpośrednim pretekstem miało być rzekome posiadanie przez Husajna zakazanej broni masowej zagłady (w co uwierzyła chyba tylko „Gazeta Wyborcza”), pierwsze zlecenia najpierw na zniszczenie, a potem na odbudowę Iraku dostały właśnie prywatne firmy amerykańskie powiązane z członkami urzędującej administracji.

Co zaś zrobić z iracką ropą, podpowiadał Amerykanom „Financial Times”, pisząc trzy dni po ataku, 23 marca 2003 r.: „Iracki przemysł należy jak najszybciej sprywatyzować. Ropa w rękach państwa – to najprostsza i najszybsza droga do kolejnej krwawej dyktatury. (...) I kiedy nadejdzie czas odbudowy, najlepszą

rzeczą, jaką Amerykanie i Brytyjczycy będą mogli zrobić dla zapewnienia stabilizacji w regionie, powinna być prywatyzacja irackich zasobów paliwowych”.

Zawadzki pisząc o klęsce Amerykanów, m.in. finansowej („utopiony bilion dolarów” – od siebie dodam, że Joseph Stiglitz ocenia wydatki Ameryki na dwa, a nawet trzy razy więcej), myli dwie rzeczy – pieniądze państwa, czyli podatników, z pieniędzmi prywatnych firm. To prawda, państwo straciło biliony, ale poszczególne firmy biorące udział

w „odbudowie” Iraku i „ochronie” ludności zarobiły krocie.

Zapomniane ofiary

Licząc ofiary wojny, Zawadzki pisze o 4,5 tys. zabitych Amerykanów i „przynajmniej” stu kilkudziesięciu tysiącach „tubylców”. To „przynajmniej” jest niezwykle pojemne. Już w 2004 r. najbardziej prestiżowe medyczne pismo na świecie „Lancet” liczbę ofiar okupacji Iraku oceniło na 100 tys., zaś dwa lata później na 655 tys. Dzisiaj ogólną liczbę irackich ofiar ocenia się na milion!

Liczba zabitych „tubylców” nie robi jednak specjalnego wrażenia ani w USA, ani w Europie. Co innego, jeśli chodzi o „naszych” – ci są skrupulatnie liczeni, oplakiwani i dekorowani, zaś ich „zabójcy” ścigani z całą bezwzględnością. Nic nowego. Stary, rasistowski schemat, który działa pod każdą szerokością geograficzną i sprawdza się doskonale, szczególnie w tłumaczeniu stosowania odpowiedzialności zbiorowej – kiedy w gruzach World Trade Center zginęło 3 tys. Amerykanów, rząd USA zarządził dywanowe bombardowania Afganistanu, w których już na samym początku śmierć poniosło dziesięć razy więcej niewinnych afgańskich cywilów. Albo gdy Izraelowi porwano żołnierza, ten zabił 1,4 tys. palestyńskich mieszkańców Gazy.

Doskonałym przykładem stosowania tego typu podwójnych standardów jest kolega redakcyjny Zawadzkiego Dawid Warszawski. 14 marca w „Gazecie Wyborczej” cieszył się ze skuteczności izraelskiej obrony przeciw-rakietowej (wystreliliwane z Gazy rakiety nie zabiły żadnego Izraelczyka) i celności izraelskich nalotów odwetowych na Gazę: „Zarazem izraelskie naloty były niezwykle celne: z 26 zabitych w nich tylko cztery ofiary to cywile, a pozostali to bojownicy Komitetów i Dżihadu”. Ciekawe, czy gdyby wśród tych czterech cywilów było dziecko Warszawskiego, też napisałby coś takiego?

Zawadzki pisze w swoim tekście, że w przeciwieństwie do mnie, który jakoby dzieli świat według dziecinnego kryterium dobra i zła, on dzieli ludzi na głupich i mądrych. Stąd, jego zdaniem, „Amerykanie specjalnie się nie różnią od innych, raczej dbają o swoje interesy niż o cudze. Ale mają potężną machinę wojenną, dlatego ich głupstwa są bardziej kosztowne i tragiczne”. Przyznaję, że wobec takiego dictum jestem bezradny. Gdyż jako „kosztowne i tragiczne głupstwo” wynika z posiadania „potężnej machiny wojennej” wytłumaczyć można wszystkie zbrodnie. Nie tylko amerykańskie.

Pochwała filmowego dziwactwa

Z ANIĄ TRZEBIATOWSKĄ, dyrektorką artystyczną festiwalu OFF Plus Camera, rozmawia Joanna Ostrowska



PIOTR GUZIK

Czym OFF Plus Camera miałyby się wyróżniać na mapie polskich festiwali filmowych?

– Staramy się nie rywalizować z innymi festiwalami. Najważniejsze dla nas to robić swoje. Trzymamy się zasady pokazywania tej samej liczby filmów każdego roku. Znamy każdy prezentowany tytuł. Spędzamy z nimi czasami nawet rok i zaczynamy je promować oraz traktować jak „dzieci” (śmiech). Staramy się zapewnić publiczności łatwy dostęp do seansów i spotkań z twórcami – wszystko dzieje się w centrum miasta. Chcemy też, żeby widzowie mogli – podobnie jak w Telluride, Locarno czy Sundance – oglądać filmy w „studijnym” klimacie, unikać więc multipleksów.

Selekcja ponad stu festiwalowych tytułów zajmuje, jak powiedziałaś, rok. Jak się odbywa?

– Pracujemy ze stałą grupą selekcjonerów, pasjonatów kina, którym możemy zaufać. Na przykład w sekcji „From the Gut: Amerykańscy niezależni” taką osobą jest dyrektor programowy Sundance Film Festival Trevor Groth oraz jeden z programistów tego festiwalu Mike Plante. Przy sekcji „Nowe kino brytyjskie” współpracowali z ludźmi z New British Cinema Quarterly i BBC Arena. Sami także jeździmy po zagranicznych festiwalach i szukamy pereł.

Główną nagrodą – w konkursie „Wytyczanie drogi” – jest 100 tys. dolarów. To spora kwota...

– Najważniejsza dla nas jest pomoc twórcom przy kolejnych projektach. Wręczenie statuetki to trochę mało. W tym roku festiwal otwiera „Terri” – film zwycięzcy pierwszej edycji OFF Plus Camera Azazela Jacobsa, zrealizowany także dzięki naszej nagrodzie. Na takie momenty czekamy i to dla nas powód do dumy.

Konkurs główny wywołuje największe zainteresowanie. Czego można się spodziewać w tym roku?

– Proponujemy 12 tytułów. Warto zwrócić uwagę na mocną „reprezentację” skandynawską – zaplanowaliśmy m.in. polską premierę szwedzkiego obrazu „She Monkeys” Lisy Aschan. Polecam też filmy amerykańskie, np. „Without” Marka Jacksona. Będzie też znakomita parodia tzw. filmów

festiwalowych, filipiński „The Woman in the Septic Tank” Marlona Rivery.

Filmy są na zbliżonym poziomie – jury stanie więc przed poważnym wyzwaniem.

– Obrady na pewno będą burzliwe. Ale też ze względu na skład jury. Oprócz przewodniczącego reżysera Andrzeja Żuławskiego będą jeszcze kostiumografka Colleen Atwood (współpracowała m.in. z Timem Burtonem i Robem Marshalllem), Tom Kalin – ikona New Queer Cinema i Josh Radnor – producent, reżyser, aktor znany m.in. z serialu „Sześć stóp pod ziemią”, a także światowej sławy operator, współpracownik m.in. Mike’a Leigha i Dicka Pope’a.

Na festiwalu jest też Konkurs Filmów Polskich.

– Pokazujemy w tej sekcji interesujące, dobrze zrobione polskie obrazy wywołujące u nas emocje, choćby „Ki” Leszka Dawida czy „Big Love” Barbary Białowąs. Ciekawi nas, jak będzie na nie reagować jury pozbawione „polskiego kontekstu” – Michael Radford, Oren Moverman, Margery Simkin, James Spring i Stephanie Zacharek. To ważne, bo dodatkowo nagrodą jest tu umowa z Ealing Metro, dystrybutorem, który będzie reprezentował zwycięski polski film na świecie.

Zaskoczeniem jest sekcja poświęcona nowemu kinu izraelskiemu. Skąd pomysł na nią?

– Jeżdżąc po świecie, zauważyłam, że coraz częściej oglądam odważne i fascynujące izraelskie produkcje, które są w Polsce mało znane. Uruchoiliśmy więc niezależne kontakty produkcyjne, aby dowiedzieć się, co ciekawego dzieje się w tej kinematografii. Zaprosiliśmy m.in. „Invisible”, „Footnote” i „A Beautiful Valley”.

Nowością jest też „Geek Cinema”.

– Kino odmienców jest modne na świecie, a ja zawsze uważałam, że Polacy uwielbiają odmienność. Dlatego chcemy nadrobić zaległości. Pokażemy np. film „Hesher” Spencera Sussera, z Natalie Portman i Josephem Gordonem-Levitem. Staraliśmy się z Grzesiem Stępnikiem, programistą tej sekcji, aby filmy były zróżnicowane, stąd m.in. wybór kontrowersyjnego „Laurentie” Mathieu Denisa i Simona Levoie’a.

A czym charakteryzuje się w tym roku znana już bywalcom festiwalu sekcja kobieca?

– Zaprogramowała ją nam Debra Zimmerman, szefowa organizacji Women Make Movies, która od 40 lat wspiera kino kobiet od produkcji, po dystrybucję i reklamę. Wybrała fenomenalne filmy o zróżnicowanej tematyce – od transgender, po prostytutkę i sprawę seksualnych surogatów. A na dokładkę zestaw shortów – coś w rodzaju powrotu do początków, kiedy większość twórczyń borykała się z problemami finansowymi, ale i tak robiły filmy.

Dużą atrakcją OFF Plus Camera są goście. Kto przyjedzie do Krakowa w tym roku?

– Na przykład Joshua Leonard, którego znamy z „Blair Witch Project”. Zaprezentuje się jako reżyser „The Lie”. Będzie Aidan Gillen (gwiazda m.in. serialu „Gra o tron”) z filmem „Treacle Jr.”. Na pokazie „Podejrzanych” Bryana Singera pojawi się Stephen Baldwin. Tradycyjnie już odwiedzi nas Elvis Mitchell, krytyk filmowy i kurator Los Angeles County Museum of Art, który przeprowadzi wywiady z twórcami. On chce tu wracać, podobnie jak wielu innych, i to jest dla nas wyróżnienie. W tym roku przybliżamy widzom funkcję casting director’a – warsztaty poprowadzi Margery Simkin pracująca przy „Erin Brokovich” Soderbergha.

Na koniec – jakie trzy filmy polecilibyś widzom szczególnie?

– Warto nadrobić zaległości i zobaczyć „Wisconsin – Rubryka kryminalna” Jamesa Marsha, twórcy „Człowieka na linie”. Marsh to jeden z oryginalniejszych i odważniejszych eksperymentatorów, który nie boi się ani dokumentu, ani fabuły. Nie można też przegapić polskiej premiery „The Raid” Garetha Evansa. To jeden z najlepszych filmów akcji ostatnich lat. A na dokładkę polecam znakomitą czarną komedię Johna Michaela McDonagha „Gliniarz” z Brendanem Gleesonem i Donem Cheadle’em w rolach głównych. Bawi do łez.

5. OFF Plus Camera – Festiwal Kina Niezależnego, Kraków, 13–22 kwietnia

Rozmiękczona hartmania



TOMASZ PIĄTEK

Autor felietonu jest pisarzem

Kilka dni temu papuga Zebek zaczęła sobie wydziobywać mózg. Nie jest to łatwe, wydziobywać sobie swój własny mózg swoim własnym dziobem ze swojej własnej głowy. Początkowo sądziłem, że to kolejny dowód ponadprzeciętnych zdolności mojej papugi, i nie przejmowałem się tym zbyt. Prawda okazała się nie tak wesoła: Zebek został zaatakowany przez hartmanię. Nie jest to mania hartu, ale złośliwy pasażer, najprawdopodobniej pochodzenia tropikalnego. Hartmania powoduje rozmięczenie mózgu. – No dobrze, Zebku – powiedziałem. – Rozumiem, że cierpisz na rozmięczenie mózgu. Ale dlaczego ty sobie ten rozmięczony mózg wyjadasz? Czyżby dopiero po rozmięczeniu stał się wystarczająco miękki dla twojego wyrafinowanego podniebienia? Powiedz mi, czemu swój osłabiony mózg dodatkowo jeszcze sobie uszczuplasz?

Zebek nie odpowiedział, poza słowem „Srokułka”, które powtarza, odkąd zaczęło się u niego rozmięczenie mózgu. Jakby podejrzewał, że już nie jest papugą, tylko srokułką. Sroka kradnie błyskotki, kukułka podrzuca swoje jaja innym ptakom, natomiast srokułka kradnie innym ptakom jaja i w ich miejsce podrzuca błyskotki. Jest więc prekursorką transakcji wymiennych, wolnego rynku i dlatego została nadana jako herb Balcerowiczowi (Leszek Balcerowicz herbu Srokułka albo Leszek Srokułka-Balcerowicz).

Nagle zrozumiałem, co się dzieje. Zebek po prostu bierze przykład z profesora Jana

Hartmana (siewcy hartmanii zresztą), który wypowiadając się dla „Gazety Wyborczej” w sprawie strajku głodowego historyków (protestują przeciwko ograniczeniu nauki historii w szkole, chociaż byłoby ciekawiej, gdyby protestowali przeciwko pańszczyźnie w XVII w.; taki strajk historyków to byłoby coś), profesor Hartman powiedział: „Większość uczniów nie zapamiętuje z liceum nic, również z historii. Nie obchodzi ich nauka i żadna reforma tego nie zmieni. Mam do czynienia z absolwentami i to widzę. Pytam studentów, kiedy było średniowiecze? – nie wiedzą. Kto to Napoleon? – nie słyszeli. Z kim graniczyła Polska przed 1989 r.? Nie potrafią wymienić tych państw. Musimy się przyznać, że oświeceniowo-romantyczny pomysł masowego kształcenia na poziomie średnim nie wypalił. Idea powołania wielkiego systemu szkolnictwa, który doprowadziłby masy na próg inteligentnego wykształcenia i obywatelstwa, jest utopijna. (...) Masowe wykształcenie jest po prostu biologicznie niemożliwe (...). Nie ma konieczności, żeby matura i studia były masowe (...). Gdybyśmy pozwolili uczniom opuszczać szkołę nie w wieku 19 lat, ale wcześniej, byłoby taniej, efektywniej, uczciwiej. Mielibyśmy więcej absolwentów z wykształceniem realnym, choć często zawodowym. Długie kształcenie ogólne byłoby dla najbardziej zmotywowanych. Tak jak przed wojną (...) Prawda jest luksusem dla elit”.

Tak, tak, nie przywidziało się państwu, on to naprawdę powiedział. Prawda jest luksusem dla elit. Obywatelstwo dla mas to utopia. Masowe wykształcenie jest biologicznie niemożliwe. Byłbym wdzięczny profesorowi Hartmanowi, gdyby doprecyzował, jakie biologiczne czynniki odróżniają tych, którzy mogą się kształcić, od tych, którzy nie mogą. Jaki gen, jaki chromosom? Może kolor włosów i oczu? Może na przykład tylko niebieskooccy blondyni mają prawo się kształcić? Bywały już podobne projekty, ale one akurat uniemożliwiłyby profesorowi Hartmanowi dostęp nie tylko do wykształcenia, ale także do jedzenia, a w końcu i do tlenu w płucach.

Profesor Hartman z jednej strony mówi o biologicznym upośledzeniu niewykształconej większości populacji, z drugiej zapewnia, że w jego systemie każde dziecko będzie miało równe szanse na pójście do ambitnej szkoły. Rozumiem, że zamysł jest taki: aby zwykła szkoła (ta nieucząca), nie przemęczając głupiej większości populacji, w jakiś sposób wyluskiwała z tępej masy poszczególne zdolne jednostki i wysyłała je do szkoły ambitnej (czyli uczącej). Co się jednak stanie, kiedy zdolne dziecko przyjdzie na świat w ośmioosobowej łódzkiej rodzinie, mieszkającej w jednej zatłoczonej kawalerce, z włączonym nieustannie telewizorem, przy którym nie da się nawet najgłupszych lekcji odrabiać? I co się stanie, gdy takie zdolne dziecko z głupiego domu pójdzie do głupiej szkoły, gdzie nie otrzyma żadnych bodźców, które uaktywniłyby jego zdolności? Rozumiem, że profesor Hartman uważa, iż prawdziwe zdolności przejawiają się same, niezależnie od zewnętrznych okoliczności. Obawiam się, że w systemie profesora Hartmana okazałoby się, że 99 proc. zdolnych dzieci to dzieci już na wstępie stymulowane do rozwoju przez rodzinę – a więc dzieci z domów wykształconych, kulturalnych. Zapewne zamożnych. Prawda jest luksusem dla elit – tak mówi profesor Hartman, który wobec powszechnej zapaści mózgu proponuje nam, żebyśmy świadomie i celowo tę zapaść pogłębili.

– Bo ty zawsze uprawiasz *reductio ad absurdum* – powiedziała nagle srokułka Zebek.

– Nieprawda, Zebku, nieprawda – sprostowałem. – To jest coś odwrotnego, deductio ab absurdum. Nie sprowadzam profesora Hartmana do absurdu, przeciwnie: muszę wyjść od sporego absurdu, żeby do profesora dojść. Powiedz, Zebku, a może ty zjadasz swój mózg, bo chcesz, żeby jego rozmięczenie przełożyło się na żołądek? Może używasz swojego mózgu jako środka na przeczyszczenie?

– Kura. Kurwa. Chała. Chałwa – odpowiedział Zebek i zrozumiałem, że mózg mu się właśnie skończył.

Twierdził, że pochodzi z Syriusza, ma kontakty z Lucyferem, a zamach na WTC jest największym dziełem sztuki wszech czasów. Cornelius Cardew, jeden z jego uczniów (a prywatnie maoista), utrzymywał, że Stockhausen służy imperializmowi. Dla Johna Lennona (który umieścił go na okładce „Klubu samotnych serc sierżanta Pieprza”), Björk (autorki jednego z najśłynniejszych wywiadów z niemieckim kompozytorem) oraz całej armii twórców poszukującej muzyki rozrywkowej był on przede wszystkim wynalazcą „kosmicznych” dźwięków, prekursorem muzyki medytacyjnej, intuicyjnej, rytualnej... (tę listę niewiele znaczących epitetów rozwijać można by bez końca).

Geniusz na Syriuszu

Polscy zwolennicy i krytycy Stockhausena skazani byli do niedawna na takie powierzchowne, a często sprzeczne przekazy. Dlatego „Rytuał superformuły” – choć do pewnego stopnia powiela popularne medialne stereotypy i nie jest lekturą najłatwiejszą – może się stać na długie lata pozycją obowiązkową dla wszystkich odbiorców nowoczesnej muzyki oraz kultury w ogóle. Rzetelność i syntetyczny talent autorki – główne walory tej monografii – pozostają paradoksalnie również jej największymi słabościami. Monika Pasiecznik wzięła bowiem za dobrą monetę wizerunek Stockhausena oraz jego twórczości wykreowany przez samego kompozytora. Owszem, tropi starannie przezeń ukrywane źródła inspiracji. Tak szlachetne jak „Gra szklanych paciorków” Hessego czy ezoteryczne wątki Bauhausu. Ale również te bardziej wstydlive (prekursorka dla infantylnego New Age „Księga Uranitii”) albo po prostu biograficzne (osobisty dramat wojennej sieroty, szukającego schronienia w muzycznym centrum wszechświata, którym miał być Syriusz). Ostatecznie jednak Pasiecznik

Człowiek pełen pytań

Stockhausen uważał, że zrozumienie jego muzyki zajmie ludzkości kilkadziesiąt lat. Monika Pasiecznik poświęciła prawie 300 stron na syntetyczne wprowadzenie w jego utopię



ulega eskapistycznym rojeniom Stockhausena, który pragnął być postrzegany jako geniusz pozbawiony w zasadzie biografii, kulturowych korzeni oraz zwyczajnych ludzkich słabości.

Jeśli kompozytor powoływał się na jakieś źródła, to na te najbardziej archaiczne, uniwersalistyczne i ezoteryczne, co pozwalało mu uzasadnić status proroka w wymyślnym uniwersum. Bliska była Stockhausenowi pitagorejska tradycja harmonii sfer, w której muzyka staje się już nie tyle siłą uzdrawiającą, ile fundamentem kosmicznego porządku. Doprowadziło go to w końcu do stworzenia własnej muzycznej biblij, czyli monumentalnej, 28-godzinnej operowej septalogii „Licht”, którą austrijski muzykolog Richard Toop słusznie

nazwał „syntezą starych mitów i próbą stworzenia nowych”, porównując do Odysei, Ramajany, a nawet Starego Testamentu. To właśnie jest ów „rytuał superformuły”, któremu poświęcono została niemal w całości monografia Pasiecznik.

Fantazja czy kronika epoki?

W latach 1977–2003 Stockhausen z godną podziwu konsekwencją kreował „własną Uranitę”, zamieszkującą przez kosmiczne byty Michała, Ewy i Lucyfera, ożywianą przez futurystyczne batalie i archaiczne obrzędy, zmierzającą ku duchowemu spełnieniu – oczywiście poprzez muzykę – całego istnienia. „Ja tylko (aż) komponuję” – deklarował Stockhausen. Faktycznie,

niemal całą dźwiękową, literacką oraz sceniczną zawartość „Licht” uzasadnić można techniczno-estetycznymi względami i wywieść z tytułowej „superformuły”, czyli kilkunastotaktowej muzycznej „prarośliny”.

Ale czy warto, tak jak Monika Pasiecznik, zadowolić się analizą „oficjalnej wersji wydarzeń”? Czy naprawdę uwierzmy, że kosmos „Licht”, przy którym świąty Braci Wachowskich, George’a Lucasa, a nawet J.R.R. Tolkiena zdają się być szkolnymi wprawkami, to po prostu dzieło lekko nawiedzonego i bardzo narcystycznego „muzykanta”? A może warto, wbrew intencjom samego Stockhausena, spojrzeć na ten operowy monument chociażby jak na osobistą opowieść potomka ofiary (chora umysłowo matka Karlheinz została eksterminowana przez nazistów) oraz funkcjonariusza (jego ojciec zginął na froncie w 1944 r.) hitlerowskich Niemiec? Kryzys instytucjonalnych religii i tradycyjnego humanizmu, pułapki światopoglądu naukowego, emancypacja sztuki i kulturowa globalizacja – zjawiska fundamentalne dla XX stulecia – odcisnęły zbyt wyraźne piętno na wieloznacznej materii „Licht”, by nie uznać tego pretensjonalnego dzieła za kronikę epoki, której Stockhausen był wyjątkowo wrażliwym i utalentowanym obserwatorem. Liczba intrygujących pytań, z jakimi pozostawia nas lektura książki Pasiecznik, pozwala przypuszczać, że megalomania kompozytora była uzasadniona.

MICHAŁ MENDYK



Monika Pasiecznik, „Rytuał superformuły. Karlheinz Stockhausen: Licht. Die Sieben”, wyd. Krytyka Polityczna, 320 s.

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Słowa w wiersze ułożone

Oto seria, w której poezja dla najmłodszych jawi się jako forma mądra i arcynowoczesna

Rymy są ważne dla leksykalnego, motorycznego i słuchowego rozwoju dziecka. To pierwszy powód, dla którego warto kupić wydaną przez Literacki Egmont serię złożoną z książek „Wszędzie pachnie czekoladą” Danuty Wawilów, „Idealny dzień” Natalii Usenko oraz „Piękna i mądra bajka o troskach zająca grajka” Ewy Koziry-Pawlak to zaś jedyna historia. Jej bohaterem jest zając, który zginąłby, gdyby nie miał przyjaci-

lak. Drugi jest taki, że te wierszowane opowiadki gwarantują dobrą zabawę.

Wiersze Wawilów są znane już dwóm pokoleniom i niezmiennie idealnie trafiają do ucha malucha: „Choć zamknięta jest szuflada, wszędzie pachnie czekoladą. [...] i nie mogę żyć w spokoju, gdy ten zapach jest w pokoju”.

Teksty jej córki, Natalii Usenko, są bardziej nowoczesne. Zawierają liczne onomatopeje, bardzo ważne na etapie kształtowania się mowy.

Bajka Ewy Koziry-Pawlak to zaś jedyna historia. Jej bohaterem jest zając, który zginąłby, gdyby nie miał przyjaci-

ciół. Wie o tym, więc w sytuacji kryzysowej mówi: „Pójdę do nich, by dojść do siebie...”.

Każda z książek jest dobrze zilustrowana. O lekkie, pastelowe obrazki, jakby mażnięte olejami lub akwarelą, poproszono Joannę Rusinek, Pawła Pawlaka i Dianę Karpowicz. O większości z nich można powiedzieć: słoneczne.

MONIKA JANUSZ-LORKOWSKA

W każdą sobotę w RdC (Polskie Radio dla Ciebie) autorka prowadzi program „BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA” – informacje o książkach dla dzieci i wywiady z ich twórcami



Danuta Wawilów, „Wszędzie pachnie czekoladą”; Natalia Usenko, „Idealny dzień”; Ewa Kozira-Pawlak, „Piękna i mądra bajka o troskach zająca grajka”, Literacki Egmont

Zanim usiądziesz do stołu

O tym, jak okrutnie traktuje się w Polsce zwierzęta hodowlane, opowiada film Łukasza Musiała i Adama Ptaszyńskiego

Dwadzieścia pięć milionów świń jest zabijanych rocznie na terenie Polski. „Polska jest największym masowym mordercą koni w Europie”. „Praktycznie w całej Europie panuje zakaz zabijania zwierząt na futra, oprócz Polski, gdzie farmy hodowlane wciąż istnieją i mają się bardzo do-

brze”. Oto kilka faktów z filmu Musiała i Ptaszyńskiego „To tylko zwierzęta”, który miał premierę 8 marca. Pokazy dokumentu odbywają się w kilkunastu miastach Polski. Dodatkowo film jest dostępny na stronie internetowej www.totylkozwierzeta.pl.

Dzieło Musiała i Ptaszyńskiego to najlepszy przykład filmowej działalności offowej „z misją”. Zostało zrealizowane za prywatne pieniądze twórców, przy wsparciu organizacji obrońców praw zwierząt. Wykorzystano w nim nagrania dokumentujące traktowanie zwierząt w wielkich gospodarstwach rolnych i farmach hodowlanych.



Przeprowadzono także rozmowy z przedstawicielami ruchu wegańskiego i aktywistami walki o prawa zwierząt oraz filozofami i psychologami. Powstał całkowicie niezależny obraz manifest, który ma na celu uświadomienie polskim obywatelom, co dzieje się za ich plecami. Czy raczej: co się musi stać, żeby mięso wylądowało na talerzu. Jak wygląda codzienność świń w przemysłowej hodowli i kur w klatkach, w których nie mogą się obrócić, gdzie podłoga stanowi druciana siatka? Co dzieje się, zanim tradycyjny karp trafi na wigilijny stół? Z ekranu padają porównania przemysłowej hodowli do ludobójstwa, przypominające radykalny monolog Elisabeth Costello z książki J.M. Coetzeeego.

Przeglądając się z bliska „polskim standardem”, można odnieść wrażenie, że w naszym kraju w kwestii ochrony zwierząt nadal panują warunki „pierwotne”, które skrzętnie wykorzystują zagraniczne firmy. To, co zakazane w cywilizowanej Europie, w Polsce (Rumunii czy na Ukrainie) należy do lokalnego kolorytu. I to nie tylko w gigantycznych gospodarstwach hodowlanych, ale także na wiejskich targach, gdzie katowane zwierzęta stanowią stały element.

JOANNA OSTROWSKA

„To tylko zwierzęta”, scenariusz i reżyseria Łukasz Musiał i Adam Ptaszyński, dystrybucja niezależna

Świat w bryle lodu

Werner Herzog proponuje nam kino etnograficznej przyjemności

Gdy niemiecki dokumentalista demonicznym angielskim wymawia słowo „wilderness”, niemal czuć, jak jego ciało przeszywa dreszcz rozkoszy. Uszczęśliwiają go bohaterowie, których uszczęśliwia mierzenie się z dziką przyrodą. Tym razem znalazł ich w wyludnionym zakątku syberyjskiej tajgi.

Grupa traperów, u boku której spędził rok, żyje tu według zasad ustalonych setki lat temu. Posługuje się pułapkami wymyślonymi przez praprzodków, własnoręcznie wytwarza łodzie i narty. Po prostu nowoczesność przeważnie przegrywa tu z surową przyrodą. W rzeczywistości, w której ludzkie życie często zależy od niezawodności

kilku prostych przedmiotów, nikt rozsądny nie postawi na niesprawdzonej „nowince”. Traper idzie więc w las, odnajduje odpowiednie drzewo i za pomocą toporka oraz drewnianego klina je oprawia.

„Szczęśliwi ludzie...” to – podejrzenie jak na Herzoga – grzeszne kino etnograficznej przyjemności, niemal w duchu klasycznego „Człowieka z Aran” Flaherty’ego z 1934 r. Choć reżyser jest stale obecny jako narrator, ta obecność jest powściągliwa (dzieli się zresztą autorstwem z synem Rudolphem oraz Dmitrijem Wasiukowem). „Mówią” tu głównie obrazy budzącej respekt przyrody. I niezwykle umiejętności traperów, które wydają się przetrwać ramy rzemiosła i jawią się jako sztuka.

Od lat 30. zasadniczo zmienił się kontekst takich wypraw i dziś mniej wyrażają one ciekawość obcego

świata, a bardziej chęć ucieczki ze świata oswojonego. Według Herzoga telefony, komputery, podatki i prawo uczyniły życie zbyt wygodnym i odebrały ludziom wolność. Jego opowieść wypływa więc nie z podziwu czy współczucia, ale z zazdrości wobec tych, którzy funkcjonują w jednym z niewielu miejsc na świecie, gdzie życie osiąga swą pełnię. Jeśli cywilizacja ludzka zostałaby zniszczona – mówi Herzog, odwracając się w stronę traperów – oni przetrwaliby dzięki wiedzy swoich przodków.

Jedno jednak drażni w tym obrazku: mała uwaga, jaką twórcy zwracają na rdzenną ludność zniszczoną przez kolektywizację i alkohol. Poświęcając tragedii Ketów jakieś trzy minuty i niespecjalnie psuje im ona dobry humor.

DAREK AREST

„Szczęśliwi ludzie: rok w tajdze”, reż. Dmitrij Wasiukow, Werner Herzog, Niemcy, 2011, Aurora Films, 90’, premiera 13 kwietnia

Upiorny spektakl kapitalizmu

Kampanie promocyjne Coca-Coli polegają na utożsamieniu radości życia z konsumpcją reklamowanego trunku. Życie Roberto, bohatera filmu, było do pewnego momentu ucieleśnieniem podobnego kapitalistycznego snu – wymyślona przezeń kampania Coca-Coli przyniosła mu sławę i pieniądze. Ale czasy prosperity minęły. Roberto bezskutecznie szuka pracy w dobie kryzysu, narażając się na kolejne upokorzenia. W wyniku tragicomicznego splotu wydarzeń kończy w ruinach starożytnego amfiteatru z prętem w głowie, a wokół niego szybko rodzi się medialny spektakl.

Groteskowo-makabryczna sytuacja jest centralną metaforą filmu Alexa de la Igleсії – Roberto funkcjonuje normalnie, ale to tylko złudzenie wolności, nie może bowiem wykonać żadnego ruchu, jeśli nie chce wykrwawić się na śmierć. Kryzys napędza społeczeństwo spektaklu, które w oczach reżysera jest po prostu cyrkiem – żądne sensacji i pieniędzy sępy krążą wokół Roberto, grając swoje role w kiepskim przedstawieniu, gdzie wartościami nadrzędnymi są egoizm i chciwość. Pod jarmarcznymi gagami i emocjami (slapstick idzie w parze z melodramatycznym patosem) skrywają się alegoria i moralitet, jak zawsze w kinie hiszpańskiego twórcy.



W otoczeniu szaleńców moralnym fundamentem okazuje się Luisa, żona Roberto, kontestująca reguły gry. Jej sprzeciw jest równie efektywny co sama gra, bo odpowiedzią na upiorny spektakl kapitalizmu jest w „Życie to jest to” inne widowisko – reżyserowane przez filmowca błazna, który grozę przekuwa w żart.

BLAŻEJ HRAPKOWICZ

„Życie to jest to”, reż. Alex de la Iglelesia, Hiszpania 2011, Manana, 195’, premiera 13 kwietnia

Pudełko nie dla świętych

Album Gaby Kulki, Ola Walickiego i Macieja Szupicy jest jak letnia ulewa – pozornie zbędny, ale jakże odświeżający



Od czasu „Sleepwalk” (2009), czyli płyty Gaby Kulki, Konrada Kucza i Bogdana Kondrackiego, nie było w repertuarze zadziornej wokalistki tak udanych piosenek. Po drodze zdarzyły się wprawdzie nagrania, m.in. z Czesławem Śpiewa, Adamem Nowakiem, Dick4Dick czy ostatnio z zespołem Baaba (covery Iron Maiden). Współpraca z muzykami Baaby była bardzo udana, ale trzeba uczciwie przyznać, że dopiero na „Saintbox” Gaba na powrót wyruszyła w swoje ulubione rejony. Dokładniej: tam, gdzie jej głos zyskuje tajemniczą barwę. To coś między górnymi rejestrami Joanny Newsom a brzmieniem Kate Bush i Stiny Nordenstam.

Wokalistka lubi chodzić sobie po różnych miejscach na muzycznej mapie, bardzo swobodnie kształtując frazę. Wszędzie czuje się dobrze – i w rzadko wskrzeszonym jazzie z lat 70., i w elektronicznych hymnach (kto pamięta „Electric Sheep” ze „Sleepwalk”?), i w podbarwionych szlachetnym retropopem melodiach czy folkowych motywach. Nie inaczej jest i teraz, tylko że „Saintbox” waha się między bardziej hermetyczną stylizacją na muzykę sprzed 30 lat a autorskim albumem przyszłości.

Co jest w nim naprawdę nowe? Zupełna wolność i dowolność. Głos Gaby wspina się tam, gdzie chce (i jest to piękne), a ona sama

śpiewa, o czym chce (o żywotach świętych i własnych z nimi skojarzeniach).

Ola Walicki pisze i improwizuje z zaciętością jassowca z krwi i kości. Wielokrotnie pokazywał improwizacyjny pazur, choćby podczas współpracy z Mazzollem, Leszkiem Możdżerem, Mikołajem Trzaską czy Muńkiem Staszczykiem. Ale tu zaskakuje. Udowadnia, że równie łatwo odwołuje się do muzyki popularnej jak do nowoczesnego, energetycznego folku i wszystkich odmian jazzu.

I jeszcze Maciej Szupica. Były muzyk Dick4Dick tworzy wideo niczym obrazy z podświadomości, składające się na totalnie abstrakcyjny spektakl. O sile jego oddziaływania najszybciej będziemy mogli się pewnie przekonać 12 kwietnia, podczas koncertu w warszawskiej Fabryce Trzcin.

A ja żałuję, że o „Saintbox” nie będzie tak głośno, jak na to zasługuje. Bo dzięki tak ambitnym albumom polska muzyka zyskuje coraz bardziej.

ANNA GROMNICKA



★★★★
Kulka, Walicki, Szupica, „The Saintbox”, Mystic

Ze znakiem jakości

Płytę z remiksami wydaje się z reguły po to, żeby wyłudzić pieniądze od fanów. Jednak Nick Cave to uczciwy facet

To byłoby na tyle, jeśli chodzi o Grinderman. To koniec, może zobaczymy się za dziesięć lat, kiedy będziemy jeszcze starsi i brzydsi – tymi słowami Nick Cave w grudniu zakończył koncert zespołu w Australii. Czy czwórka dzikich, ekstrawaganckich i nieogolonych facetów zamierza zakończyć wspólną karierę po dwóch zaledwie albumach?

Wydawca grupy już zdecydował się zrobić remanent i wydał zbiór remiksów „Grinderman 2 RMX”. Na szczęście muzycy zdążyli postawić na płycie swój znak jakości i nie ma na niej przypadkowych osób. Josh Homme podrasował brzmienie gitar i dodał

psychedelicznego klimatu „Mickey Bloody Mouse”, Barry Adamson wpuszcł w „Palaces of Montezuma” więcej ducha gospel, a wokalista Matt Berninger z The National w kameralnym „Evil” niezauważenie dołączył do Cave’a. Pośród 12 utworów jest też kilka ryzykownych prób współczesniarstwa garażowego rock’n’rolla przez A Place to Bury Strangers, UNKLE i Andrew Weatherall. Elektroniczne rytmy nie są jednak taką bolesną płytą jak trzyminutowa solówka Roberta Frippa na jej początku. Ale szybko można o tym zapomnieć, później jest już z górki.

JACEK SKOLIMOWSKI



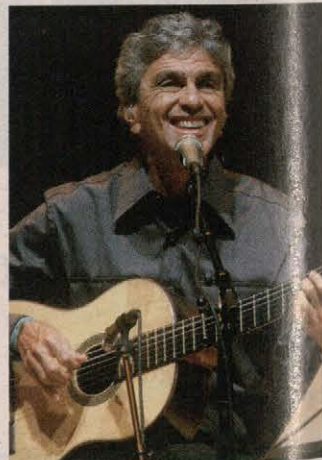
★★★★
Grinderman, „Grinderman 2 RMX”, Mute/EMI

Tylko dla kilku chwil

Dwaj muzyczni giganci – jeden z Rio de Janeiro, drugi z Nowego Jorku – wreszcie wspólnie na scenie w Carnegie Hall. Co wynikło z tego spotkania?

Czy po autobiograficznej książce „Dzienniki rowerowe” i doskonałym filmie „Wszystkie odloty Cheyenne’a”, którego przewodnim motywem jest piosenka „This Must Be the Place” Talking Heads, powróci moda na Davida Byrne’a? Niewykluczone, szczególnie że do grona ciekawostek na jego temat można też zaliczyć album zarejestrowany w 2004 r. podczas koncertu w Carnegie Hall u boku Caetano Veloso. Spotkanie to było wyjątkowe – Byrne zawsze był miłośnikiem i propagatorem muzyki brazylijskiej – wtedy miał wreszcie okazję wystąpić z jej mistrzem, ale było ono ostatecznie niezbyt udane.

Półtoragodzinny koncert panowie podzielili między siebie po połowie – Veloso zagrał swoje klasyki, m.in. „Voz é Linda”, „O Leozinho”, a później zabrzmiły przeboje Talking Heads „And She Was”, „Road to Nowhere”. Wszystko w kameralnych i niestety w niezbyt porywających wykonaniach na gitarę akustyczną, wolonczelę i przeszkadzając. Ciekawie zrobiło się dopiero pod koniec, kiedy wspólnie wykonali za-



bawne „(Nothing But) Flowers” oraz dwie wzruszające ballady „Terra” i „Heaven”. Tylko dla tych kilku chwil warto jest mieć tę płytę i można żałować, że wydawnictwo nie ukazuje się na DVD.

JACEK SKOLIMOWSKI



★★★★
Caetano Veloso and David Byrne, „Live at Carnegie Hall”, Nonesuch/Warner

Nikt nie odbierze Tadeuszowi Słobodziankowi zasłużonej chwały wprowadzenia przedwojennej sekty eliaszowców do polskiej literatury i teatru. Opisana w książce Włodzimierza Pawluczuka „Judas” historia życia i nauczania proroka Ilji stała się dla niego wielką metaforą wszystkich naszych xx-wiecznych utopii i obłądów, studium o fałszerstwie świętości i odurzeniu pragnieniem odmiany świata. Wokół postaci Eliasza Klimowicza i jego wyznawców Słobodzianek stworzył trzy dramaty. Najnowsza premiera „Proroka Ilji” to znak, że powoli przygotowuje grunt pod zwyciężenie trylogii – już od jakiegoś czasu gotowa jest „Śmierć proroka”, a jej wystawienie poprzedzi zapewne na Woli powrót „Cara Mikołaja”.

Trudno mieć pretensje do autora, że na prowadzonej przez siebie scenie chce mieć swoje najlepsze sztuki w wersjach kanonicznych, utrzymane w zbliżonej estetyce, zrealizowane przez ulubionego reżysera – Słowaka Ondreja Spisaka. Słobodzianek jest już przecież w wieku, w którym artysta obraca w głowie dwa fundamentalne zdania: „Exegi monumentum...” i „Co po mnie naprawdę zostanie?”. Przygląda się więc w nieskończoność swoim scenicznym światom, pilnuje idei, zabezpiecza słowa, ochrania sylaby. Nie chce, żeby reżyser polemizował z jego wizją, pogłębiał myśli, podmieniał obraz. Spisak z pokorą akceptuje taką postawę dramaturga dyktatora: ani kroku w bok, niech wybrzmi tylko to, co zaplanowane! Z pozorów niby racja, tak powinno być, „Ilja” to w końcu jeden z najważniejszych dramatów ostatniego półwiecza, z drugiej – szkoda, bo cały czas mam wrażenie, że recepcja tej sztuki z winy Słobodzianka, zadrzotnie strzegącego integralności i pierwotnych sensów utworu, obsesyjnie obawiającego się krnąbrnych realizatorów, stała w miejscu.



Trzeci prorok

„Prorok Ilja” wystawiony w Teatrze Na Woli to pomnik wzniesiony dla dramaturga, który obawia się krnąbrnych realizatorów

W porównaniu z przedstawieniami sprzed lat – Grabowskiego (1999), Worona (1995) i samego Słobodzianka (1994) – dzieło Spisaka zamiast żywego, rozwibrowanego organizmu jest jak wzniesiony na scenie pomnik tekstu, stylu i mitu. Białoruscy chłopci, którym zwiódł się, że zbawią świat, jeśli ukrzyżują Ilję, nowego Jezusa Chrystusa, łażą po omacku z wielkim drewnianym krzyżem, jakby nie mogli znaleźć wyjścia z teatralnego muzeum. Gromada jest zbyt jednorodna, za młoda, aktorzy nie umieją zagrać beznadziei i desperacji w pierwszej scenie, od której przecież ich marsz ku „Dobru” się zaczyna. Ot, miastowe chłopaki się za chłopów poprzebierali. Musimy uwierzyć im na słowo honoru, że jest źle, że Lucyfer w snach przychodzi, biedni są coraz biedniejsi, a bogaci – bogatsi.

Ilji. Dzięki nim można nawet interpretować tę wizję przerwanej Golgoty jako historię równoległą do tej ze Słobodziankowej „Naszej klasy”. Przed Jedwabnem była Grzybowskiżna, wieś w powiecie sokólskim. Może jest tu inna ludzka maligna i inny charakter ma ślepa przemoc, ale bez wątpienia to wciąż ta sama „stacja doświadczalna końca świata”. Szkoda, że Spisakowi pomnik lepiący z echa, obrazów i kontekstów rozlatuje się w rękach. **ŁUKASZ DREWNIĄK**

★★★★

„Prorok Ilja” Tadeusza Słobodzianka, reż. Ondrej Spisak, scen. Frantisek Liptak, kostiumy Jan Kozikowski, Teatr Na Woli im. Tadeusza Łomnickiego w Warszawie, premiera 31 marca

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



Katastrofa a la Smoleński: szepty i krzyki

Choć rocznicowy czas sprzyja, a cała sprawa dotyczy wątków katastroficznych, nie będzie tu mowy o Smoleńsku. Pomówimy o Smoleńskim Konradzie

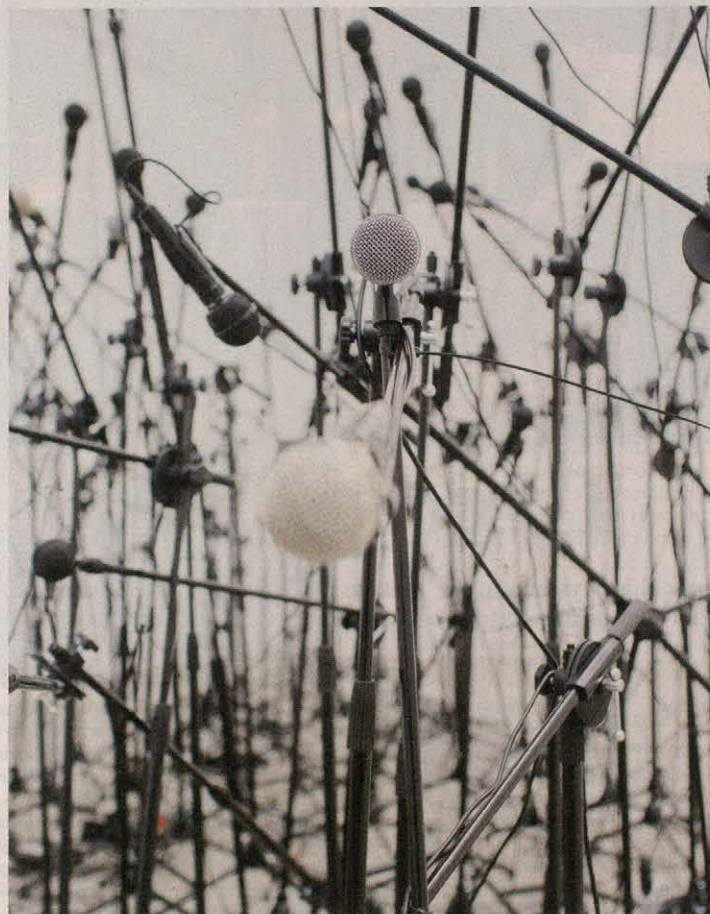
To artysta o apokaliptycznych ciągach, znany piroman, wirtuoz gry na bombie, koneser niskich tonów i brudnych brzmień. Pod koniec ubiegłego roku triumfował w konkursie „Spojrzenia”, w którym nagradza się najciekawszych polskich artystów średniego pokolenia. Teraz pokazuje pierwszą wystawę od czasu tamtego zwycięstwa. Pokaz nazywa się „Włączone”. Konrad Smoleński nie rzuca słów na wiatr i nie zawodzi. Jego sztuka rzeczywiście jest włączona na ful: szepcze, dudni, wciera się pod czaszkę i wprawia widza w dygot.

Punkowy basista w galerii

Smoleński (ur. 1977 r.) przyplątał na scenę sztuki kilka lat temu z falą niosącą nowych brutalistów z Poznania. Jest członkiem Penerstwa, bodaj najbardziej udanej formacji artystycznej w Polsce od czasów grupy Ładnie. Występował w składzie zespołu kot, stworzonego przez gwiazdę Penerstwa Wojciecha Bąkowskiego. Sporo czasu spędza w muzycznym podziemiu. Jest animatorem eksperymentalnej sceny PINKPUNK, na której hardcore'owe dźwięki miesza się z elementami performance'u i działaniami wizualnymi. Własne muzyczne pomysły realizuje na niwie projektów i zespołów Mama, Kristen, Sixa i BUNT.

Kiedy wynurza się z czeluści muzycznego undergroundu, wkracza na scenę sztuki. Pozostaje jednak tą samą osobą; awangardowy muzyk przynosi ze sobą do galerii i muzeów brudne brzmienia, potępienie basy i fale dźwięku, od których drżą mury sal wystawowych. Sam wciela się chętnie w rolę artystycznego terrorysty. Oto obraz Konrada Smoleńskiego sprzed kilku lat: rozebrany do pasa artysta, z twarzą zamaskowaną czarną kominiarką gra na bombie, przerobionej na instrument.

W jego twórczości roi się od aktów tworzenia poprzez zniszczenie i figur agresji: instalacji wyrąbanych bezpośrednio w murach galerii, prac realizowanych z użyciem broni palnej, a także materiałów wybuchowych. Najbardziej wyrazistą z tych ostatnich był gigantyczny napis „Śmierć”, zbudowa-



ny z fajerwerków i ustawiony w szczytnym polu, przy torach kolejowych na trasie Poznań – Berlin. Złowieszczy komunikat eksplodował, a potem długo płonął, ukazując się oczom pasażerów przejeżdżających pociągów naszymi widmowe memento.

Ostatecznie sztuka Smoleńskiego spełnia się w dziełach totalnych, takich jak instalacja „Energy Hunters”, którą artysta pokazał na „Spojrzeniach”. Była to momentalna kombinacja minimalistycznej architektury, nakreślonych na amerykańskiej pustyni filmów oraz potężnej dawki dźwięków, które tworzyły niewidzialną ścianę basowych tonów, w natężeniu bliskim granicy ludzkiej wytrzymałości. Praca była kondensatem wiszącej w powietrzu przemocy i nierozładowanego napięcia; nie tylko oglądało się ją, ale także czuło każdym centymetrem wprawianego w wibrację ciała. Złośliwcy powiadali, że Smoleński wygrał, ponieważ zagłuszył wszystkich innych artystów w konkursie. W pewnym sensie rzeczywiście tak było – w „Energy

Hunters” nie tylko poziom dźwięku został przekroczony do końca skali. Smoleński podkreślił także na maksa potencjometr ekspresji, trzymając ją jednocześnie w ryzach żelaznej dyscypliny.

Na tym polega bowiem tajemnica sztuki Smoleńskiego – artysta wyzwała ogromne ilości energii, ale nie po to, by rozpuścić piekło na ziemi. Kontroluje siły, z którymi igra, jego prace są rodzajem kondensatorów, w których kumuluje się napięcie. Taki charakter mają również realizacje, które Smoleński przedstawia w galerii Leto oraz w postindustrialnej hali kompleksu Soho Factory. Artysta pokazuje dwie prace, zestawione na zasadzie kontrastu biegunowych skrajności: głośne wystawione jest przeciw szepcowi, a wielość przeciw monolitycznej jedności.

Demonstracja mikrofonów

Pierwszą część wystawy, instalację „The End of radio”, Smoleński realizuje w galerii. Stawia przed nami las

mikrofonów na koncertowych statywach. Każdy z nich przypomina luźną postać, skrajnie schematyczną, uproszczoną, zredukowaną do nagiętego kręgosłupa i głowy. Z kolei owe głowy – mikrofony – pozbawione są oczu, twarzy. Mają tylko usta. Sygnał doprowadzony do nich został odwrócony. W ten sposób urządzenia z odbiorników zmieniły się w nadajniki. Tłum schematycznych postaci kłębi się i napiera na widza niczym czoło demonstracji, które napotyka kordon policji, albo fani muzycy, którzy tłoczą się pod sceną w czasie koncertu. Rzecz w tym, że ten „tłum” nikogo nie słucha. Jest głuchy. Jest także „niemy” chórem, który mówi, ale niczego nie artykułuje. Z mikrofonów wydobywają się śpiewy, fragmenty niezrozumiałych słów. Jesteśmy świadkami zgromadzenia, które przypomina zdeorientowaną demonstrację protestacyjną – pozbawioną lidera, nieświadomą swych żądań i nieznającą adresata, któremu można by je przedstawić.

Druga instalacja również przemawia do widza, ale zupełnie innym głosem. Praca nazywa się „To jest większe ode mnie” i w rzeczy samej ma monumentalny charakter. Smoleński buduje geometryczny obiekt, który skalą i kształtem przypomina tajemnicze głowy z Wysp Wielkanocnych. Rzeźba okazuje się w istocie monstrualnym głośnikiem. Wydobywa się z niego fala dźwięku o bardzo niskich częstotliwościach. Na początku wydaje się, że nie jest on aż tak głośny, choć całe pomieszczenie wibruje lekko od basowych tonów. Z czasem jednak ten utwór, bez melodii i rytmu, zaczyna wierać się w mózg, mąci myśli i zaburza poczucie czasu.

Smoleński nie zakłada tym razem czarnej kominiarki, ukrywa się za swoimi instalacjami, ale wciąż jest artystycznym terrorystą. Pozostaje pytanie, w imię jakiej sprawy sieje na widowni niepokój i przyprowadza o dreszcze. Na wystawie w Leto pada na to pytanie odpowiedź. Smoleński, który wprawia się w rzeźbienie w dźwięku i czeluży minimalistyczną formą, współcześnie starą kategorię wzniosłości. Proceder, który uprawia, to nic innego jak terroryzm piękna.

STACH SZABŁOWSKI



Konrad Smoleński, „Włączone”, galeria Leto/Soho Factory, ul. Mińska 25, Warszawa, wystawa czynna do 21 kwietnia

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45



rys. Marek Raczkowski/ARCHIWUM PRZĘKROJU

POZIOMO:

1. POWIEŚĆ Z KLUCZEM
7. SŁODCZY TYCIA
8. NIEBO W GĘBIE
9. DUŻA PARÓWKA
10. NIE SIE SAMOCHÓD NA BARACH
13. NÓŻ NA SPRZEDAŻ
14. ZAPALENIE OPON

17. NIECH BĘDĘ POCHWALONY
18. UL. NIEDŹWIEDZIA
20. CENTUŚ
25. ROŚNIE NA ŻYCIU
31. WYBIERA SIĘ NA URLOP
32. UTKNĘŁA W KORKU

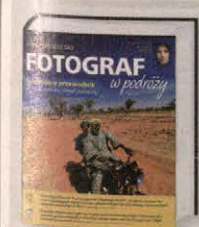
33. WENUS DOSTAŁA OD RADWAŃSKIEJ
34. MOWA NAWA
35. PRZYWIĄZANIE DO ZIEMI
36. REALIZUJE POŁĄCZENIA

PIONOWO:

1. Z WYSOKIEGO KONIA
2. KOS Z ŻÓŁTYM DZIOBEM
3. BAL NATURALNY
4. BRANE NA ROGI
5. KRĘCONE NA KLATCE
6. ŻE TRZEBA PO RUSKU, BO WYSTYD PO FRANCUSKU
11. ZAWIESZENIE BRONI

12. NAKARMIĆ W ZŁOŚCI
14. OKOLICZNOŚCI UCIECZKI
15. RZECZNIEPOSPOLITA
16. WYJŚCIA NIE MA
18. KULA PRZY ŁAŃCUCHU
19. JEDNA TRZECIA
21. NA TARGU W DZIEŃ STRAGANOWY

22. DUPINA
23. DOSTAJE WYCISK
24. AZOREK
26. LATA TKANY
27. TO MA BYĆ ŻART?
28. WYGINA W ŚRODKU
29. ŚRODEK WYRAZU
30. BUJANIE KOMARA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Fotograf w podróży” Poznaj inspirujący przewodnik po świecie reporterskiej fotografii podróżniczej. Sprawdź bezcenne porady cenionego podróżnika i fotografa Piotra Trybalskiego!

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 15”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 15 kwietnia 2012. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

LAUREACI Z NR. 12

Inga Chlewicka, Warszawa; Sławomir Jędrzejka, Łódź; Krystyna Kasinśka, Kłodzka; Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Zbigniew Łyszczyk, Wrocław; Wojciech Szymt, Bydgoszcz; Wanda Wozniak, Dzierżonów; Wanda Wszola, Dzierżonów; Agata Zając, Kąty Wrocławskie; Jerzy Zieliński, Warszawa

ROZWIĄZANIE Z NR. 13 KRZYŻÓWKA: CZYSTA ROBOTA

POZIOMO: 1. OBLUPANY POSĄG – POSAG 7. NAKŁADANE NA CZŁONKA – WPISOWE 8. WIĄŻE SIĘ Z TRUDEM – MUCHA 9. PAŁKA ZAPALKA – LUCZYWO 10. POCIĄGA GO ZABÓJCZYNI – SPUST 13. CIASŁOLAT – TORT 14. CZĘŚĆ KLUCZA – KACZKA 17. ŚLIZUS – WAZELINIARZ 18. NOCNA CZARA – MARA 20. SPOTKALI SIĘ, ABY OBAĆ – SPISEK 23. MA DWIE LEWE NOGI – PLATFUS 31. BRANY PRZESZ SPORTOWCÓW – ROZBIEG 32. KOWALSKI CHLEBA – ZJADACZ 33. MĘCZENIE MIŁOŚZA, KLEPANIE WOJACZKA – RECYTACJA 34. O BORZE – WIERTŁO 35. POBIERA KREW – LIGNINA 36. ZARABIA NA CHLEB W REKLAMIE – MARGARYNA

PIONOWO: 1. PIERWSZY Z BRZEGU – POMOST 2. CZĘSTO ZMIENIA KANAŁY – SZCZUR 3. U RETY – GWALT 4. NA SAMEJ GÓRZE RÓŻE – WIECHA 5. GORZKO GORZKO – GORYCZ 6. SIÓSTRA CYRYLA – METODA 11. CIOTKA DOBRA RADA – PORADA 12. KLIMATYCZNE MIEJSCE – STREFA 14. CIĄGNIE ZA UCHO – KLIPS 15. PROSZEK DO PIECZENIA – CHILI 16. CIEMNA MASA – KARMEL 18. MATERIAŁ NA PŁYTĘ – MURAWA 19. DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI – ROZLEW 21. WIKTORIA OKRUTNA – POGROM 22. POCHODZENIE – SPACER 23. WYKASTROWANY KASTRA – KASTRA 24. KAWAŁ ŚWIATA – WIATA 26. OBRAZY ŻONY MATEJKI – FOCHY 27. SPRZEDAWANA NA WAGĘ – SZALA 28. PÓŁGĘBEK – WARGA 29. UBRANIE PO BRACIE – HABIT 30. DROGI CZASU – SZMAT

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY



www.sukcesmagazyn.pl

Z N O W U R O Z M A I T O S C I

RACZKOWSKI
NA KONIEC

WIOSENNY
SPACER
Z OZIADKIEM.



RETROSPEKCJA



„PRZEMO” z 12 KWIETNIA 1992 R.



„PRZEMO” z 16 KWIETNIA 1992 R.



„PRZEMO” z 18 KWIETNIA 1992 R.

MYŚLNIK
KRZYSZTOFA
BILICY

Liczą się
tylko
pionierzy
i ostatni
Mohikanie.

NIE TAK: JAN KOZA

POLSKA-NA STYKU KULTUR



KINOTEATRZYK
PRZEMKA JURKA

Koń turyński
eksperymentalny spektakl
zaangażowany

Wstępują:
WOŹNICA, CORKA
WOŹNICY oraz - wprost
z USA! - autentyczny KON,
KTÓRY MOWI

WOŹNICA (główny):
Kinoteatrzyk nie jest
produktem.

CORKA WOŹNICY
(gościnnie):
Czytelnik nie jest klientem.

KON, KTÓRY MOWI:
(wobec odrąbkowania przez
powszechną cytowaną całej
listy dialogowej dramatu
bryka, tupie & parska
wynownie)

KURTyna - po trzech
godzinach ponurej
pantomimy na tle
apokaliptycznych dekoracji
- zapada na próbę
szatniarza.

ROMAN KURKIEWICZ

Przemysł
„Smoleńsk
10.04.2010”



LEWO
MYŚLNIEM

Jeszcze w maju polski (pojedzie?) do Moskwy, będzie prze-konywał Władimira Putina, żeby wrak rządowego tupolewa rozbił się pod Smoleńskiem i wrócił w całości swoich części do ojczyzny. To znaczy do Polski, co trzeba podkreślić, bo jednak prawdziwą ojczyznę każdego tupolewa jest albo nieist-niejący ZSRR, albo jego spadkobierca - Rosja. Jak nie załatwi Gowin, to pojędzie Kaczyński, jak Kaczyński nie, to Tusk, jak nie Tusk, to Komorowski, jak nie Komorowski, to Waleśa, jak nie Waleśa, to już nie wiem kto, bo papież ciągle nie żyje. Co nam po wraku? Czym się stanie? Obiektem badań, śledztw, kultu, handlu? Wszystkim naraz? Zapewne tak. Aluminum, gumy, plastik, resztki tapicerek, fragmenty sil-nika, skrawki skrzydeł, w tym te najcenniejsze z biało-czer-wonymi pozostałościami farby. Powstanie ikona trumny tupolewowskiej. Ruszy produkcja miniaturowych wraku zatopio-nych w kopucie ze śniegiem (dwa lata leży, niedługo okry-ty). Szkielety lotniczy, ryngi, „zbrodni politycznej”, order odwagi wiekistej i miecz suwerenności. Trafi na koszuł-ki i ścienne nakładki. A gdzie zostanie wystawiony? Może w miejscu niewybudowanego Muzeum Sztuki Nowocze-snej? Taki wielki płac. Taka deflacja materii. Taka demon-stracja niegody. Symbol dumy. A może trzeba wrzucić to wszystko, co zostało z rządo-wego tupolewa, do hutniczego pieca, wytopić wielką kulę i rzucić ją gdzieś w środek Białym. I pożegnać ten fetysz „zamachu”, ten totem „zdradzonych o świcie”. Ale będzie inaczej. Zacznie się ogólnopolska dysputa o tym, co z wrakiem. Jaka przyszłość dla przeszłości. Jak uwiecznić, zatrzymać, zakląć, o obecny i nieusuwalny ele-ment bezpłodnej debaty i pozarządowego rozdrgania. To się sprzeda. Wrak wiecznie żywy. I niedługo. Dla każde-go coś. Brelok. Lampka. Kula śnieżna, pardon, wrak w kuli mglanej.

AGADIR

PODRÓŻ, KTÓRA
PRZEPEŁNI CIĘ ŚWIATŁEM



Agadir
W MAROKU



www.agadir.travel

TRAVEL FOR REAL